



***Realizacja inicjatywy lokalnej
w ramach Akademii Animacji Lokalnej
przeprowadzonej w miejscowości Szufnarowa***

Tutor: Beata Kozicka

Danuta Brzoza

Elżbieta Piękoś

Projekt „Aktywni lokalnie” jest współfinansowany ze środków otrzymanych od Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego w ramach Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich. Jest realizowany przez Fundację Rozwoju „Dobre Życie” w partnerstwie z Gminą Krasne, Gminą Miejską Lubaczów, Gminą Strzyżów i Gminą Wiśniowa.



Żyjemy w świecie, w którym możemy cieszyć się z pokoju i osiągnąć cywilizacji. Dążymy do realizacji własnych planów i marzeń. Czas, w którym toczy się nasze życie, wydarzenia i sytuacje, sprawiają, że żyjemy szybko i intensywnie. Czy w tym pośpiechu potrafimy się zatrzymać i zadumać nad tym, co było, nad własną historią, przeszłością naszych przodków, nad tym, jak oni żyli, jakim trudnościom i wyzwaniom musieli stawić czoła, do czego dążyli i o co walczyli?

Jak wyglądała nasza rodzinna miejscowość, nasza mała Ojczyzna za naszych dziadków i pradiadków, żyjących w czasach naznaczonych piętnem wojny?

Mimo, że to odległy czas – dzieli nas 80 lat od rozpoczęcia II wojny światowej – te historie żyją razem z nami, na zawsze wyryły ślad w sercach i pamięci ludzi, którzy są jeszcze wśród nas. Może są wśród nich bliskie nam osoby...

Ile krwi przelano na tym małym skrawku szufnarowskiej ziemi? Ile istnień chciano wymazać poprzez zadanie im śmierci?

Mając świadomość, jaką wartość i godność ma człowiek, nie możemy pozwolić na wymazanie z pamięci i serca jego istnienia, postawy, poświęcenia, bohaterstwa.

Temu mają służyć wspomnienia tu zamieszczone. Postanowiliśmy ocalić nawet najdrobniejsze ich okrucy, spisując słowa naocznych świadków tych czasów, tych którzy pamiętają te wydarzenia z opowiadań innych, tych którzy odczuwają pustkę, tęsknotę, brak ukochanej osoby... Są to mieszkańcy Szufnarowej oraz mieszkańcy innych miejscowości, którzy pochodzą z Szufnarowej.

Miedzy tymi cennymi słowami zapisały się także ludzkie uczucia, emocje, tęsknoty, ból i łzy, ale także wdzięczność za to, że ci ludzie są wysłuchani, zauważeni przez młodsze pokolenie i że ich doświadczenia zostaną przekazane innym.

W rozmowie z nimi brali udział uczniowie i absolwenci Szkoły Podstawowej im. Jana Pawła II w Szufnarowej, którzy dzięki temu nie tylko lepiej poznali historię naszego narodu, ale przede wszystkim czerpali z bogactwa starszego pokolenia, ich doświadczenia i mądrości, słuchając jak w tamtym strasznym czasie radzili sobie z trudnościami, lękiem o najbliższych, nie rezygnując z własnej godności i poświęcając się dla innych.

Młodzież wspierali zaproszeni eksperci oraz osoby związane z partnerami projektu: Szkołą Podstawową im. Jana Pawła II w Szufnarowej, Stowarzyszeniem na Rzecz Rozwoju Wsi Szufnarowa i Biblioteką Publiczną Gminy Wiśniowa.

W budynku szkoły podstawowej (która przez cały czas była do dyspozycji uczestników projektu) odbyły się warsztaty:

- dziennikarskie – dzięki którym nauczyliśmy się, jak budować dobrą relację z ludźmi, z którymi się spotykamy, jak ważne jest słuchanie rozmówców i umiejętne prowadzenie rozmowy oraz jak zredagować pozyskane informacje;
- fotograficzne – które wyposażyły nas w wiedzę na temat historii fotografii i sztuki robienia dobrych zdjęć, ponieważ jednym z założeń projektu było zamieszczenie zdjęć osób oraz udostępnionych przez nich pamiątek.

W celu wytworzenia dobrej atmosfery i współpracy w zespole zorganizowaliśmy spotkanie integracyjne. Jego uczestnicy wzięli udział w zabawach integracyjnych i podejmowali zadania mające na celu lepsze poznanie siebie nawzajem oraz poznanie zasad dobrego funkcjonowania zespołu.

Efekty naszych działań przedstawiamy w publikacji internetowej pt. „Ocalone wspomnienia. II wojna światowa w pamięci mieszkańców Szufnarowej”

Publikację ubogacają grafiki inspirowane wspomnieniami wykonane przez uczestników projektu – ojca i syna, którzy też opowiedzieli historię przekazaną przez babcię – najstarszą wśród naszych świadków wydarzeń wojennych.

Zorganizowana została wystawa tych grafik w Bibliotece Publicznej Gminy Wiśniowa, (filia w Szufnarowej), co dało możliwość zapoznania się szerszej społeczności z tą tematyką

Kolejną inspiracją było wykonanie „prac pudełkowych” pt. „Zamknięcie historii w obrazie”. Przez otwór – „dziurkę od klucza” można było zobaczyć sceny nawiązujące do opowiedzianych historii.

Inicjatywa spotkała się z dużą aprobatą społeczności lokalnej, satysfakcją rodzin osób uczestniczących w projekcie. Widocznymi efektami było duże zaangażowanie i współpraca wielu osób, dzielenie się pomysłami i cennymi wskazówkami, propozycje różnorodnej pomocy społeczności lokalnej oraz uwrażliwienie młodego pokolenia na drugiego człowieka i czerpanie z bogatego skarbcza doświadczeń i mądrości życiowej osób starszych.

Podjęta inicjatywa zainspirowała młodzież i całą społeczność lokalną do dalszych działań dotyczących historii, w 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej.

Dzięki projektowi w ramach działalności Fundacji Rozwoju „Dobre Życie” postanowiliśmy ocalić wspomnienia z czasów II wojny światowej w naszej miejscowości Szufnarowa. Są one jak kartki z kalendarza odsłonięte w pamięci ludzi.

Mamy nadzieję, że staną się okazją do zadumy i osobistych przemyśleń nad wielkim dziedzictwem przeszłych pokoleń.

Ocalone wspomnienia

II wojna światowa w pamięci mieszkańców Szufnarowej

Wspomnienia mieszkańca, który dzieciństwo spędził w Szufnarowej

Zacznę od pierwszych dni wojny. Pamiętam, że mnie obudziły krzyki, że lecą samoloty. Wyszedłem z domu i zauważyłem, że wujek strzelbę ładował kulami. A te samoloty przeleciały. Wujek mówił, że jak będą wracać, to on im łby porozbija. Miał strzelać do tych samolotów. Ale samoloty nie wracały, poleciały gdzieś dalej aż za lasy, tam jakieś wybuchy było słychać i wyszedł czarny dym znad lasu. Nikt nic nie wiedział, co się dzieje. Po południu z dziadkiem, z ojcem mojej mamy poszliśmy do sąsiedniej miejscowości zobaczyć, co tam się dzieje. Tam blisko torów były takie bagna. Były pozakładane takie czerwone chorągiewki, bo ponoć spadły tam bomby, ale nie eksplodowały. Przewidywano, że to mogą być bomby z opóźnionym zapłonem i wybuchną za jakiś czas. Jedna z tych bomb trafiła w tory kolejowe, reszta w te bagna i te chorągiewki były po to, żeby się tam nie zbliżać, bo może być w każdej chwili wybuch. Po pewnym czasie zaczęli się Niemcy w Szufnarowej pokazywać. Przy drodze był taki dość duży plac. Tam przyjechał jakiś oddział zmotoryzowany, niemiecki. Ustawili tam kilka samochodów ciężarowych w dwóch rzędach. A dalej stały już motocykle z przyczepami, bez przyczep, różne. Przyjechało dwie kuchnie. Niemcy chodzili po domach i kupowali, kto miał sprzedać jakąś żywność. Do nas też przychodzili. Prosimi też, żeby im tam przynosić produkty żywnościowe, np. jajka, ser i inne. Płacili za te produkty, ile, to nie pamiętam. Chodziłem tam z wujkiem, najmłodszym bratem mojej mamy. Pamiętam, że on brał taki koszyk wiklinowy z przykrywką, wkładał tam jajka i szliśmy im sprzedać te jajka. Była bieda, to parę groszy za te jajka, to było coś. Dzisiaj to bym życiu tak nie zrobił, ale wtedy chodziłem między te samochody, motocykle. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, co Niemcy będą wyprawiać. Wtedy byłem młody, głupi, nie zdawałem sobie sprawy, po co było chodzić tak między wrogami. Ale te samochody, to wszystko było wtedy dla nas bardzo ciekawe. Niemcy wynosili z tych samochodów jakieś rzeczy, polewali benzyną i palili. Ludzi się tam schodziło dosyć dużo, bo jeszcze się tak nie bali Niemców. Jak się coś zaczynało palić, to ludzie to brali, nieśli do rzeki, żeby ugasić i zabierali, uciekali z tym. Niemcy zasadniczo tego nie bronili, pozwalali to zabierać, śmiali się z tego, że Polacy to biorą. Przychodzili do nas spać do stodoły. Spali na słomie. Przychodzili wieczorem do nas do domu i grali w karty. Była lampa naftowa do oświetlenia. Wujek umiał robić różne sztuczki z kart. Jak im te sztuczki pokazał, to oni się zdziwili, że on to potrafi, porozmawiali coś i już nie poszli do nas do stodoły spać. Nie przychodzili do nas więcej. Coś się im ten wujek nie podobał, że za sprytny. Ale myśmy nadal tam do nich chodzili.

Pewnego dnia rano poszliśmy tam znowu z wujkiem. Poszliśmy dalej wzdłuż brzegu rzeki. Za zakrętem były ścięte olsze. Na jednym pniu były takie zielone odrosty. Zauważyłem, że tam leży rewolwer. Wujek stał trochę dalej, pokazałem mu ten rewolwer i zaczęliśmy się zastanawiać, jak go zabrać. Dzisiaj to bym z takiego miejsca uciekał. Przykucnęliśmy przy tym pniu, wujek, pamiętam, że miał taką żółtą kurtkę z kołnierzem,

rozpiął tę kurtkę, włożył rękę między gałęzie i włożył ten rewolwer pod kurtkę. Ja cieszyłem się, że mamy ten rewolwer. Przyszliśmy do domu, ja poleciałem do wujka, który bardziej się bronią interesował. Mówię mu, że ukradłem rewolwer Niemcom. Wujek zobaczył ten rewolwer i się zdenerwował na nas. Powiedział, żeby go wyrzucić daleko w zarośla i żebyśmy tam siedzieli, aż on nie przyjdzie po nas. Bał się, że Niemcy specjalnie zastawili taką pułapkę, nawet kazał mojej mamie sprawdzić, czy Niemcy już nie idą do nas. Mama sprawdziła, że ich nie widać, więc poszliśmy ten rewolwer wyrzucić daleko od domu. Wujek, który zabrał ten rewolwer, gdzieś go tam schował. Ja nie widziałem gdzie. Siedzieliśmy gdzieś w tych zaroślach. Jak już była szarówka, to mama przyszła po nas. Wróciliśmy do domu i wujek nam powiedział, czy sobie zdajemy sprawę, co myśmy zrobili. Gdyby Niemcy to odkryli, to mogliby nas wszystkich wystrzelać, dom spalić. Zabronił nam tam więcej chodzić, pokazywać się tam. Już tam więcej nie poszedłem. Ale niedługo potem, cały ten oddział niemiecki zwinął się i odjechał stamtąd. Taki sam oddział stał na łące, za dzisiejszym przystankiem autobusowym. Pamiętam, jak chodziłem z babcią na jarmark. To było na początku wojny, pewnie 40 rok, bo Żydzi jeszcze byli. Tam widziałem, jak Niemcy rabowali żydowskie sklepy. Wstąpiliśmy z babcią do jednego takiego sklepu, widziałem, jak na ladzie stoi Niemiec i wszystko z półek rzucał w stronę drzwi. Ludzie tam stali, kto mógł, to łapał to, co ten Niemiec rzucał, a on się śmiał. Żydówka go prosiła, żeby tego nie robił. Ale on się tylko śmiał. Babcia coś tam wzięła i dawała tej Żydówce jakieś pieniądze. Jak chodziliśmy na jarmark, to pamiętam, że Niemcy sprawdzali, co mamy w koszyku. Nie wiem, czego szukali. Myśmy nigdy nie mieli czegoś takiego, co byłoby nielegalne. Nosiliśmy na jarmark czosnek, cebulę, jajka. Ale tego nie zabierali wtedy.

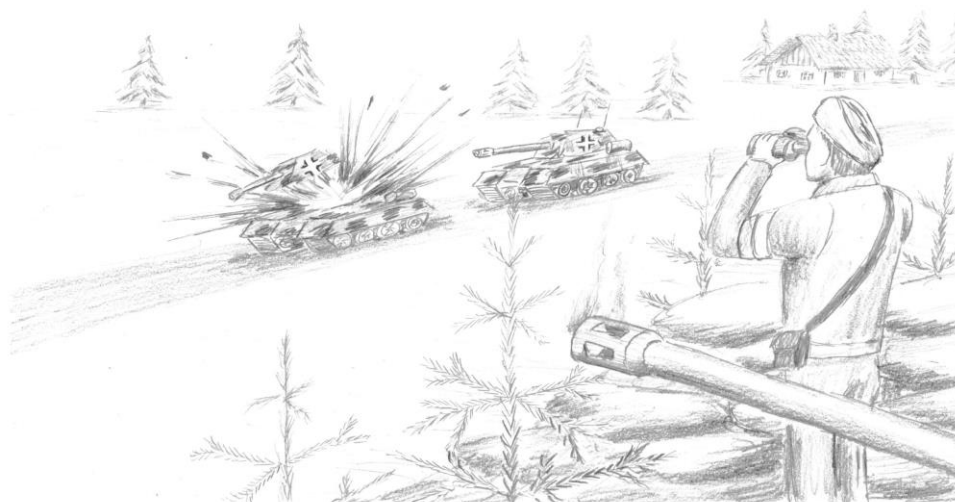
Pamiętam, jak się zaczęła budowa schronu w Stępinie. Wszyscy, kto tylko miał konie, musiał jechać do Wiśniowej, tam zrobili cztery tory kolejowe. Wszyscy tam z końmi musieli jechać, ładowali na wozy różne materiały i wszystko się wiozło do Stępiny. Pociągami też tam dowozili materiały.

Siostrze mojej mamy, pamiętam, coś się stało w palec. Nie pamiętam co, ale trzeba było lekarza. Był taki niemiecki lekarz i czasami udzielał pomocy Polakom. Ona poszła do tego lekarza, coś jej tam pomógł i potem jeszcze chodziła tam na opatrunki. Palec został, ale był niesprawny. Ja byłem tam raz z nią, czekałem na nią, tam było paru chorych ludzi, bo ci lekarze niemieccy pomagali, jak trzeba było. Ja miałem na szyi coś zaklejone, zawinięte, nie pamiętam co mi to było. I lekarz woła na mnie, żeby wejść. Ja nie chciałem, bo się bałem. Ale on przyszedł, wziął mnie za rękę, zaprowadził mnie gdzieś, posadził na krzesło, odwinął tę jakąś ranę, czymś to przecierał, pamiętam, że to było zimne. Przygotował bandaż z przyłepcem, na to położył jakąś maść i zakleił tą ranę, czy coś. Tak niechcący otrzymałem pomoc. Potem czekałem na ciotkę i wróciliśmy do domu.

Pamiętam jeszcze takie zdarzenie. Był chłopak starszy ode mnie parę lat. Opowiadał nam taką historię. Kręcili się z kolegami koło Niemców i zauważył gdzieś leżący magazynek od broni. I chciał to ukraść. Ale Niemiec to zauważył. Wzięli go do jakiegoś pomieszczenia. W jednym pomieszczeniu siedzieli Ukraińcy, których Niemcy skądś przywieźli, a w pomieszczeniu obok posadzili tego chłopca. Miał schowany scyzoryk przy sobie i Niemcy go nie znaleźli. Zauważył, że w zamku w drzwiach z drugiej strony jest klucz. Nie wiedział, czy ktoś pod drzwiami go pilnuje, ale zaryzykował. Zaczął tym scyzorykiem kombinować i ten klucz wypadł po drugiej stronie drzwi. Przez chwilę słuchał, czy ktoś tego nie usłyszał, ale była cisza. Widział ten klucz przez wąską szparę pod drzwiami. Zaczął się zastanawiać jak ten klucz zdobyć. W pomieszczeniu było wiadro do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Odpiął ucho od tego wiadra, rozgiął je i wsunął pod te drzwi. Wciągnął ten

klucz do środka. Zaczął otwierać tym kluczem drzwi i wtedy ktoś usłyszał ten zgrzyt. Przyleciał Niemiec i jeszcze wezwał kogoś do pomocy. Ale poruszali drzwiami. Zamknięte. Klucza w zamku nie było i się nie zorientowali. Klucz był w tych drzwiach, gdzie byli Ukraińcy. Niemcy otworzyli i weszli do tych Ukraińców. Wtedy ten chłopak szybko otworzył drzwi wyciągniętym kluczem i uciekł. Mówił, że już przez ostatni płot przeskakiwał, gdy Niemcy zaczęli za nim strzelać. Ale zdążył uciec. Uciekał w stronę drogi. Po drodze był sad. On był już zmęczony biegiem i wspiał się na jakieś drzewo, żeby się ukryć. A Niemcy już go szukali, zrobiło się poruszenie. Niektórzy ludzie zauważyli go, że on na tym drzewie się ukrywa i dali znać do niego do domu. Jak go Niemcy zauważą, to żeby wiedzieli, co się z nim stało. A Niemcy go nie zauważyli, tylko przebiegali blisko niego drogą, bo widzieli, że w tamtym kierunku pobiegł. Potem się ściemniło, była szarówka, staliśmy na polu z sąsiadem. Patrzymy, idzie ktoś. Myśmy stali tak przy drzwiach do domu. A to był ktoś z rodziny tego chłopca. Wszedł do domu i po chwili wyszedł z wujkiem, który nas zapytał, czy będziemy jeszcze długo tu stać. Sąsiad powiedział, że już idzie do domu. A po chwili przyszedł do nas ten chłopiec z tym kimś z rodziny. Gdzieś go tam sprowadzili tego drzewa i przyprowadzili do nas do domu. Zaraz okna pozasłaniali kocami, żeby nie było nic widać i ten chłopiec został u nas. Ale później sąsiadki zaczęły się tym interesować, bo on się zaczął gdzieś tam pokazywać. I zdecydował, że trzeba się stąd gdzieś wynieść. Poszedł prawdopodobnie do kogoś w sąsiedniej miejscowości. Tak to się zakończyło.

To było w roku 44. Było słyszeć jakieś hałasy, że jadą jakieś pojazdy ciężkie. Sąsiad przyleciał do nas i mówi, że coś się będzie działo, bo słyszeć, że jadą w naszą stronę jakieś ciężkie pojazdy. Zaczęły wyjeżdżać jakieś wozy opancerzone, na gąsienicach. Tutaj koło mostu siedział Rosjanin z telefonem. Jak te czołgi się zbliżały, to on zostawił ten telefon. Wycofał się do rzeki i uciekł. Myśmy okna powiązali na sznurkach, żeby trochę zabezpieczyć, najważniejsze rzeczy pochowaliśmy do piwnicy obok domu w takiej górze. Z tego czołgu jakiś pocisk spadł koło domu drugiego sąsiada. A wcześniej tam przyjechali Rosjanie wozem i parą koni. Jeden z nich coś tam w domu jadł. Jak ta strzelanina się zaczęła, to my wszyscy uciekliśmy do piwnicy. Co pewien czas wyglądali, czy jakiś dom się nie zapalił. Przychodzi ten sąsiad z powrotem i pyta się, czy był tu Niemiec. Mówimy, że nie było. Bo koło naszego domu był Niemiec i pytał się, czy tu są Rosjanie. Ja mu mówiłem, że nie widziałem. Koło domu rósł groch tyczny i on zasłonił ten wóz z końmi, którym Rosjanie przyjechali do sąsiada i postawili między domem a stodołą. A ten Niemiec, myśmy tego nie widzieli, tylko potem nam opowiadali, poszedł kawałek i zauważył ten wóz. Zaczął iść w stronę czołgu, ale nie doszedł, bo go Rosjanie postrzelili. Niemcy podjechali czołgiem i jakoś go tam wciągnęli. Wycofali się trochę, stali i strzelali. Potem zauważył ktoś, że pali się stodoła u innego sąsiada. Potem zauważyli, że pali się znowu coś, a to się paliły dwa



niemieckie czołgi. Jeden był rozbity, cała obudowę z działem zważyło do rowu, kilku Niemców zginęło.

W drugim czołgu zginął tylko kierowca, bo reszta zdążyła uciec. W nocy gdzieś te wszystkie pojazdy się wycofywały. Myśmy całą noc siedzieli w tej piwnicy. Pociski spadały, to tu, to tu. Wujek mówił, że ciekawe, kogo będziemy tu mieć rano, Rosjan, czy Niemców. A tu rano przyszedł do nas Rusin. Pogadał coś i poszedł. Później widzieliśmy, jak dwóch Rosjan niesie rusznicę przeciwpancerną. I drogą zaczęli już iść Rosjanie. Sąsiad poszedł wtedy do domu zobaczyć. A tam pocisk trafił w dom, wyrwał całą ścianę i trafił w piec. Rozwalił wszystko, co w domu było. Jego żona i najmłodszy syn uciekli do stodoły i schowali się w słomie. Przesiedzieli tam całą noc. Tam ich sąsiad znalazł. Ale drugi pocisk trafił tam w stodołę. Też tam porozwalał coś w tej stodole, ale na szczęście się nie zapaliła. W domu była rujnacja, trzeba było robić wszystkie lepienia, wszystko poodpadało. Kolejny pocisk przeszedł przez cztery ściany, potem jeszcze urwał jeszcze taką skibę ziemi i poleciał do góry.

Gdy byli tu Rosjanie, to pewnego razu przyszedł do nas jeden z nich. Babcia z mamą lepiły wtedy pierogi. I on zapytał, czy by mu nie zrobiły pierogów. Ale one nie miały z czego. To on poszedł i za jakiś czas wrócił. Przyniósł mąki i sera czy czegoś na te pierogi. Czy kupił, czy ukradł, nie wiem, bo oni też rabowali i kradli często. Miał ze sobą takie nosidła, jak się dawniej wodę nosiło. Miał zawieszone dwa kosze i tam nosił to jedzenie. Mama z babcią robiły dużo tych pierogów, bo przyniósł dużo tych produktów. Naładował potem te pierogi do tych koszów i poniósł do swoich. Zadowoleni byli, bo bardzo dawno pierogów nie jedli.

Przychodzili znowu Rosjanie i wysyłali na wysiedlenie. Do nas też przyszli. Jeden był młody chłopak, niewiele starszy ode mnie, a drugi trochę starszy. No i żeby u nas zrobić łóżko dla jakiegoś oficera. Drugie łóżko dla nich. Zadzwonili gdzieś i przyjechał ten oficer. On z nami nie rozmawiał. Przywieźli go samochodem. Przyszedł, popatrzył i wyszedł. I byli u nas. Czasem gdzieś poszli, bo oni, jak słyszeliśmy, kradli i rabowali, gdzie się dało. Pewnego razu my z wujkiem siedzieliśmy w domu. Wujek siedział przy oknie, ten Rosjanin usiadł koło wujka blisko. Potem jak ten oficer wyszedł, wujek mi powiedział, że zauważył, że on ma na szyi wypalony jakiś numer. I stwierdził, że to musiał być wcześniej jakiś bandzior, oprych. On miał u nas łóżko, ale nigdy nie nocował. Musiał mieć przygotowanych więcej noclegów. Przyjeżdżał po niego samochód i jechał gdzieś albo szedł na piechotę. Nas też chcieli wysiedlać. Ale ci Rosjanie, którzy wtedy u nas byli, powiedzieli, że możemy zostać. Bo oni nas tu potrzebowali. Jeden z tych Rosjan odjeżdżał, mówił, że jedzie na urlop.

Mówił, że jest z Ukrainy, mieszka nad rzeką Berezyną. I on pojechał na urlop. A ten drugi, młody był z Sybiru, z Krasnojarska. To on nie mógł pojechać, bo to było bardzo daleko i powiedział, że nie ma mowy. Ten pierwszy nam powiedział, że gdyby nas chcieli wysiedlić, to że nam kazał zostać dowódca.

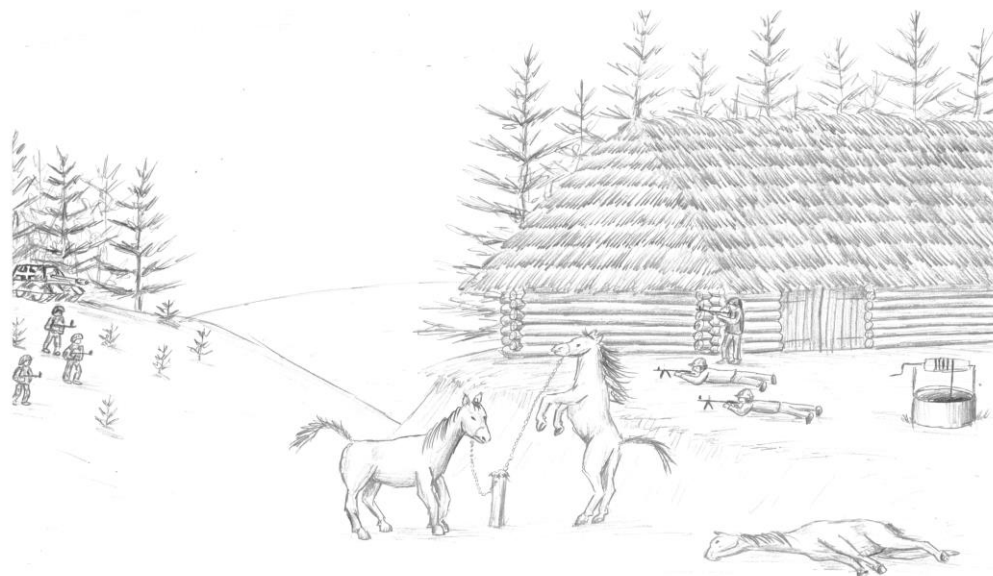
Wspomnienia mieszkańca, który w czasie wojny pisał pamiętnik

Szufnarowa, dnia 3 sierpnia 1944 r.

Od samego rana ciągnęły artylerie i tabory ruskie. Zrobili postój, popasali konie i sami za jedzeniem rozeszli się po domach. Tatuś zegnał konia i bydło pod górę, a ja z żoną byliśmy w domu. O godzinie 10 rano najechały niemieckie czołgi od Wielopola i otworzyły ogień na ruską artylerię stojącą między naszymi domami. Razem z żoną uciekliśmy do skarpy, w której było pełno ludzi, bydła i koni. Moja kobyła stała na ugorze i gdy ją brałem, to kule tylko świstały koło głowy. Wtem ogień artylerii obu stron nabral największe rozmiary, tak, że tylko ziemia jęczała od pocisków. Naraz huk, jęk, ryk bydła stał się nie do zniesienia, ja przysypały, kobyła skoczyła na mnie, zrywam się i widzę całe zamieszanie. Sąsiadka zabita, jej syn umiera. Córka niesie konającego brata, sama jest ranna i mówi, że tatuś zabity. Idę do swoich ludzi, którzy płaczą, patrzę, jałówka ma wydarty brzuch i wnętrzności na wierzchu. Wracam do żony i do rodziców i tak siedzimy, bo nie ma innej rady, tylko prosić Pana Boga o ocalenie. I tak siedzieliśmy do godziny czwartej po południu, gdy ogień trochę ucichł idziemy do domu i widzimy całe zniszczenie: okna wybite, szopa i stodoła rozwalona, i w całym budynku pełno dziur od odłamków. W ogrodzie spadło 5 pocisków i strasznie zniszczyło mi sad. I tak w jednym dniu zginęło czworo ludzi, koń i jałówka. W skarpie zniszczyło pościel i ubrania, przez pocisk, który rozbił się na buku. Noc zeszła spokojnie, spaliśmy w domu, bo Niemcy pojechali na dół Szufnarowej i tam ruscy spalili im dwa auta pancerne. W następny dzień zaczęła się strzelanina.

O godzinie 7 rano przyszły pociski i katiusze i Niemcy rozjechali się w ukryte miejsca. My zaś przesiedzieliśmy w piwnicy aż do 10 sierpnia.

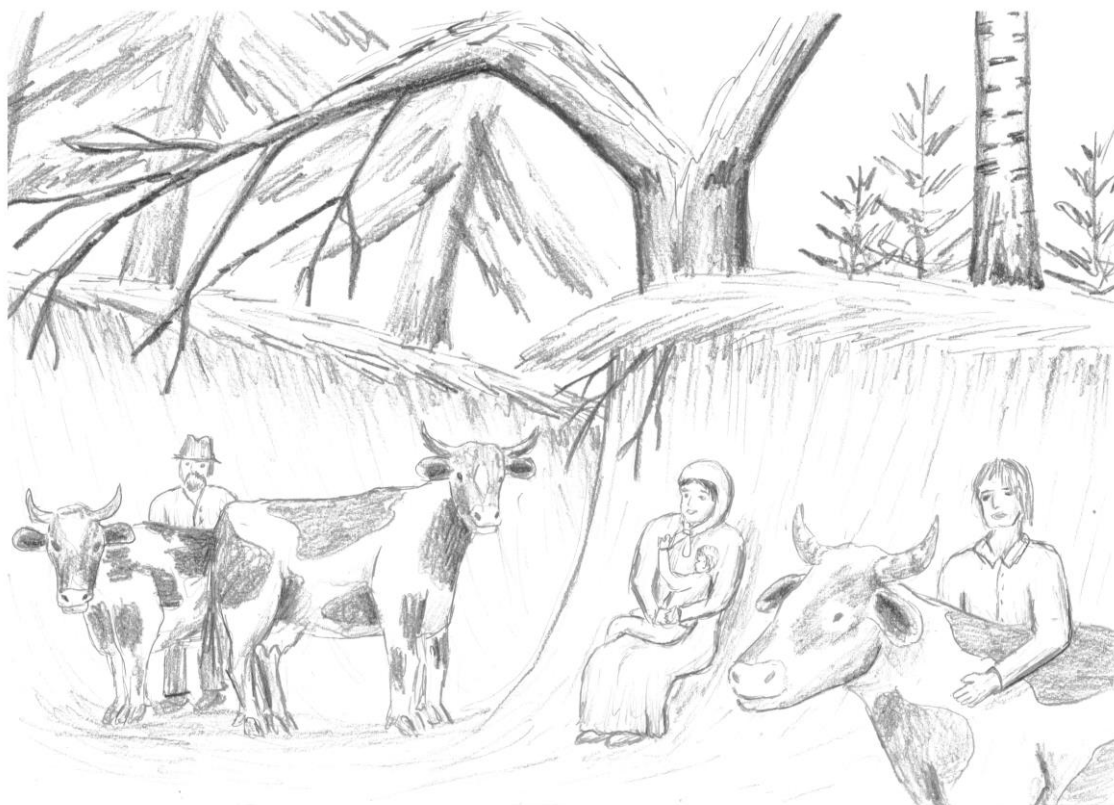
Życie było w wielkim niebezpieczeństwie. Raz po raz przelatywały pociski artylerii niemieckiej i ruskiej. Bydło karmiło się tylko rano i wieczorem. I nasze pożywienie było marne, bo ziemniaki i jaja, które tatuś czasem ugotował, bo się najmniej bał, a pociski spadały bardzo blisko. U drugiego sąsiada pokaleczyło w stajni konia i wtedy przyszła wiadomość, że został zabity sąsiad niżej, jego dzieci pokaleczone. Dnia 10 sierpnia rano paliły się budynki na jego polu. Później kapitan ruski mówił, że będzie jeszcze większy ogień i żeby się usunąć wynieśliśmy się do sąsiedniej miejscowości. Tam pociski nie leciały. 3 sierpnia Niemcy odwrócili się w inną stronę i my powrócili do domu, ale pociski jeszcze leciały i szrapnele pękały ponad nasze domy, więc strach nie minął. 15 sierpnia, w Matki Boskiej Zielnej, byliśmy w kościele, 17 sierpnia wróciliśmy do domu i zaczęliśmy żniwa.



Wspomnienia babci opowiadane wnuczce

Pierwszy dzień drugiej wojny światowej

Był to początek wojny. Moi dziadkowie i pradziadek siedzieli przed domem na ławce, gdy przechodził koło nich Rusin. Mój pradziadek powiedział do niego „będzie wojna”. Na to Rusek odpowiedział „nie będzie, nie będzie”. Nie minęło dwie godziny jak Niemcy zaczęli strzelać z wszystkich stron. Moi dziadkowie i pradiadkowie, a także bliscy sąsiedzi zabrali krowy, konie, poduszki, kołdry, coś do jedzenia i uciekli w las. W lesie znajduje się dziura w brzegu, gdzie się schowali. Krowy i konie zostały koło rzeki. Gdy tam siedzieli, koło lasu przechodził Rusek z psem, gdy z daleka zauważył go Niemiec, zaczęli strzelać w jego kierunku. Pociski zabiły konia i krowę, a także cztery osoby z jednej rodziny. Pociski roztrzaskały także drzewa, którego odłamki dostawały się wszędzie. Te osoby, które zostały zabite, dwoje zmarło na miejscu, a pozostałe dwie żyły do wieczora i także zmarły. Zostały pochowane wyżej domu, a dwa miesiące później przewiezione na cmentarz. W poduszkach i kołdrach, które też tam były zostały nafaszerowane kawałkami drewna. Jeszcze dziś babcia znalazła w poduszce kawałek drewna...



Wspomnienia mieszkańca Szufnarowej

Urodziłem się w Szufnarowej w 1935 roku czyli, jak wybuchła wojna miałem 4 lata, a jak się zakończyła miałem 9 lat. Oczywiście z czasów wojny pamiętam mniej zdarzeń i faktów niż bezpośrednio po jej zakończeniu. Miałem dwóch starszych braci, rodzice gospodarowali na 2-hektarowym gospodarstwie i tylko to było naszym źródłem utrzymania. Nie byłem jeszcze jako czterolatek świadomy wybuchu i następstw tej strasznej wojny, ale pamiętam jak mój starszy brat wrócił skądś i mówił do tatusia że jadą niemieckie czołgi. Tatuś powiedział, że musimy uciekać, bo to będzie wojna. Mnie jako najmłodsze dziecko mama zabrała i uciekliśmy do rodziny do sąsiedniej miejscowości, a tatuś ze starszymi braćmi został w domu. Gdy Niemcy wjechali do Szufnarowej, rzeczywiście zaczęła się walka. Gdy byłem z mamą, przyszedł do nas wujek i powiedział że Niemcy wycofali się do sąsiedniej miejscowości i tam zostali do głównej ofensywy. Trafiliśmy z całą rodziną na wysiedlenie, spaliliśmy w stodole. Mieszkała również z nami bezdzietna i niezamężna siostra taty, która się nami bardzo opiekowała. Oczywiście jako wysiedleńcy, nie mogliśmy z sobą za wiele zabrać, tylko rzeczy konieczne trochę żywności i ubranie. Za to wszystko odpowiedzialny był dziesiętnik, wybrany przez sołtysa. Nasza mama była chora i za wiele nie mogła chodzić i pracować, dlatego mieliśmy szczęście, że Ciocia wzięła na siebie ciężar

opieki nad naszą rodziną i nad nami dziećmi. Jak wojsko niemieckie wtargnęło do Szufnarowej ja z braćmi zabraliśmy krowy i poszliśmy. Tam był taki nieduży lasek i tam ukryliśmy się aż do zmroku, a jak zaczęło robić się ciemno wzięliśmy krowy, żeby nam gdzieś nie uciekły. Ale to co było potem, zdziwiło nas bardzo. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Otóż jak krowy usłyszały wybuchy pocisków, te wchodziły do stajni na kolanach, tak jakby się czołgały. Mój wujek który był w stodole, zapalił nierozważnie papierosa i Niemcy zobaczyli ogień więc z pistoletów maszynowych ostrzelali stodołę. Dzięki Bogu nikt nie zginął. W czasie wojny już pod koniec, często do naszego domu przychodzili Rosjanie, żeby pogadać, a przede wszystkim chcieli się napić, bo wiedzieli że mój ojciec pędził samogon jak z resztą większość naszych sąsiadów. Tatusz nalał mu do szklanki, ale zaznaczył że jest mocna „krępka”. Rosjanin odparł „charaszo” i przechylił szklankę, po czym zaczął się dusić. Wyciągnął pistolet i wymierzył w ojca mówiąc: „job twoja moc” tyś mnie chciał otruć. Ojciec zaczął zapewniać, że mówił mu, że jest mocna i żeby uważał. Rosjanie pili dużo, ale takie pół na pół z wodą, dlatego nie spodziewał się że to będzie takie mocne. Jeszcze na wysiedleniu, jak byliśmy niekoniecznie tamta rodzina dobrze nas traktowała. Byli źli, że musieli dawać nam jeść i palić pod kuchnią żebyśmy sobie coś ugotowali. Pomimo, że tatuś jak wiedział że jedziemy na wysiedlenie, zabił wieprzka, spakował mięso do garów i z tym oraz co zdążyliśmy jeszcze wziąć tam pojechaliśmy. Pod koniec wojny przyszedł do naszego domu Niemiec z dużym psem i poprosił tatusia, żeby nakarmił psa. Tatuś zapytał czy spuszczą łomot Rosjanom. On był Ślązakiem i rozumiał po polsku, ale powiedział że Hitler kaput, a Rosjanie są coraz bliżej. Pomimo, iż Rosjanie nieśli nam wyzwolenie nikt ich za bardzo nie lubił. Byli wulgarni, czepiali się naszych kobiet, a Niemcy pomimo wszystko byli bardziej kulturalni. Zaraz po wojnie sytuacja była bardzo zła. Była bieda, nie chodziliśmy do szkoły, bo nie było ubrania i butów. Jak już chodziliśmy, to tylko boso często po żwirowanej drodze, aż niejednokrotnie stopy były pokaleczone do krwi. W lecie sytuacja była lepsza bo nie trzeba było się za bardzo ubierać, ale w zimie większość dzieci nie chodziła do szkoły. Buty które pamiętam to były niestety drewniaki i w nich się chodziło. Mój tata który był rolnikiem zajmował się jeszcze stolarstwem i szewstwem. Przypomina mi się, że tatuś zrobił beczkę i postawił na polu. Podczas frontu pocisk trafił w beczkę i całą rozerwało i spaliło. Tatuś myślał, że beczkę ktoś ukradł bo jej nie było na swoim miejscu, dopiero po tygodniu wyszedł w pole a w dużej odległości od domu znalazł kawałki metalowej obręczy i wtedy się zorientował, że to nie złodziej tylko pocisk rozerwał beczkę. Jak były naloty to z całą rodziną uciekaliśmy do piwnicy i tam żeśmy się schronili. Dopiero jak ucichły strzały wracaliśmy do domu. To się powtarzało bardzo często. Rosjanie



maskowali się przed Niemcami w wykopanych okopach tak, że wjeżdżali tam samochodami, wszystko było umajone gałęziami, tak że faktycznie nie było ich widać. Jak był koniec wojny to Niemcy wycofując się bombardowali stacje kolejowe. Ja z tatusem choć miałem 10 lat poszliśmy do sąsiedniej miejscowości na nogach i widzieliśmy. Przyjechał Sowiet na koniu i pytał nas czy nie widzieliśmy Niemców, a my powiedzieliśmy że tyle co wsiedli do czołgów i odjechali. Ten Rosjanin, który siedział na koniu odchylił „pałatkę” i zobaczyliśmy bardzo dużo medali, które miał przypięte. Jakaś kobieta dała mu kromkę chleba z masłem, ugryzł dwa kęsy, rzucił resztę do rowu i odjechał. Jeżeli chodzi o żywność, to jadło się to co urosło w polu albo co zwierzęta wyprodukowały. Jeździły raz w tygodniu furmanki do GS-u do i przywoziły różne towary, ale większości nie było stać żeby kupić, bo nie mieliśmy pieniędzy. Najczęściej sprzedawało się jajka i kupowało się naftę i najpotrzebniejsze rzeczy. Często nie było w czym chodzić, chodziło się w długich lnianych koszulach cały tydzień bo nie było ciuchów na zmianę. Ludzie nie korzystali z opieki medycznej, często leczyli się sami, pomagając sobie nawzajem. Podczas frontu staraliśmy się żyć i pracować. Uprawialiśmy pole, żeby mieć co jeść. Nie mieliśmy konia, więc oraliśmy i bronowaliśmy krowami. Zakładało się krowie chomąto i tak robiła w polu, chyba że była cielna to miała przerwę w pracy. W naszej miejscowości podczas wojny mieszkali Żydzi, którzy byli prześladowani przez Niemców i często się przed nimi ukrywali. Nasza rodzina nie ukrywała Żydów, ale pamiętam że co kilka dni w nocy ktoś pukał do okna, tatuś wychodził i wynosił jedzenie, dopiero potem zorientowałem się że to było dla Żydów. A jak pasłem krowy to zobaczyłem, że w pszenicy był wydeptany taki duży plac i tam były łupy z cebuli, jaj i inne odpadki. Ludzie pomagali na różne sposoby, ale bardzo się bali bo wiedzieli że grozi im za to kara śmierci. W naszym domu Rosjanie mieli sztab i radiostację, był oficer w stopniu majora i co 2-3 godziny wyskakiwał z domu i krzyczał głośno „agoń”, a działa które były 3m od naszego domu otwierały ogień do Niemców.

Wspomnienia mieszkańca Szufnarowej, który po wojnie wyjechał z rodzinnej wioski

Urodziłem się 1 rok i 7 miesięcy przed wybuchem wojny. Na co dzień, w czasie wojny, gdy nie było zagrożenia, żyło się normalnie. Każdy sam musiał wytwarzać żywność i picie lub od kogoś nielegalnie kupić. Jadło się produkty rolne, mleko i przetwory, drób, króliki, a zimą mięso z uboju legalnego lub nielegalnego. Piło się przeważnie „samogon”, bo wódki nie można było kupić.

Ludzie spotykali się, rozmawiali, gościli się, odwiedzali się wzajemnie, czy to z rodziną, czy to z sąsiadami.

Gdy Niemców nie było w pobliżu, to żyło się normalnie, ale każdy oglądał się, czy gdzieś nie pojawiają się, bo często chodzili i wyłapywali młodych ludzi na wywóz do pracy w Niemczech.

Ubierano się skromnie, często ubiory były szyte z płótna lnianego, tkanego na krosnach. Często odkupywano od kogoś nawet wojskowe ubiory. Ludzie zajmowali się rolnictwem, stolarką, kowalstwem, a niektórzy pracowali u rolników, którzy mieli większe gospodarstwa.

Domy były przeważnie kryte strzechą, w większości razem z oborą. Pól było więcej, bo każdy uprawiał ziemię. Nie było odłogów.

Niemcy wprowadzili zakazy, nakazy i obowiązki. Krowy, cielęta i świny musiały posiadać kolczyki w uszach, bez kolczyków była kara. Na każde gospodarstwo, w zależności od wielkości, wyznaczana była dostawa mięsa, zboża i mleka. Gdy Niemcy uznali, że rolnik dostawy wykonał, dostawał bloczki (punkty) i mógł sobie kupić papierosy, wódkę, a co więcej, to nie wiem. Oprócz tego dostawał zezwolenie na ubój świni dla siebie. Całe

mięso i wyroby trzeba było zawieźć do opieczętowania. Pieczęcie, takie fioletowe odciski były jedne koło drugiej, aby nie było wolnego miejsca. Oczywiście coś trzeba było im zostawić „za ich pracę”. Zdarzyło się, że podczas rewizji znaleźli mały kawałek czegoś, co nie miało pieczęci, to zabierali wszystko, nawet to, co było z pieczęciami.

Pewnego razu podczas rewizji znaleźli kawałek czegoś bez pieczęci, więc Niemiec ze spiżarni zabrał duże opieczętowane sadło i wyniósł na sanie przed domem. Mama to sadło na powrót zaniósła do spiżarni. Niemiec od razu założył ojcu kajdanki. Mama poszła do wujka po ratunek. Wujek przyniósł wódkę, kiełbasę, zrobił poczęstunek dla Niemca. To pamiętam dokładnie, jak ojciec trzymał kieliszek w zakutych rękach. Niemiec pojadł, popił, coś jeszcze dostał na drogę i kajdanki ojcu zdjął.

Pewnego razu do wujka przyjechał gestapowiec z policją, nie wiem, co nielegalnego znaleźli, ale dużo z domu zabrali i wujka też zabrali do aresztu. Ojciec, co mógł, to zanosił do sąsiedniej miejscowości, aby wujka wykupić, no i drugiego dnia wieczorem go wypuścili, a rano pozostałych uwięzionych wywieziono do obozu. Ten gestapowiec później był w innym mieście i tam wymordował 5 tysięcy ludzi. Te rewizje często były u nas, zawsze coś znaleźli. Raz spalili wiatrak naszego sąsiada, bo było w koszu trochę zboża, a mieć zboża nie wolno było. Mieć można było tylko w ich młynach, gdzie część zboża zabierali dla siebie.

Często Niemcy z policjantami chodzili po wsi poszukując młodych ludzi do pracy w Niemczech. Młodzi ukrywali się, w lesie mieli kryjówki, w ciągu dnia raczej nie przebywali w domu. Pewnego dnia pewien młody chłopak podczas ucieczki do lasu, został przez policjanta zastrzelony. Widziałem go w trumnie. Leżał z zabandażowaną szyją.

Gdy byliśmy na wysiedleniu, to brat chodził na opatrunki do rosyjskiego lekarza. Szedł przez las i schodził prosto ku domom. Pewnego razu pijany Rosjanin strzelał do niego, na szczęście nie trafił. Po pewnym czasie wróciliśmy do wujka, gdzie mieszkaliśmy około dwóch lat. Rosyjscy żołnierze jeszcze przychodzili, czasem dali konserwę lub słodycze. Wieczorem przyszedł rosyjski żołnierz. Taki wesołek, opowiadał różne sprawy, śmiał się, robił hałas, a koledzy zabrali w tym czasie sprzed domu kilka ulti z pszczołami i za stodołą ramki z pszczołami opalali nad ogniem. Ramki z miodem zabrali.

Wtenczas, gdy przejeżdżaliśmy koło miejsca, gdzie był nasz dom, zobaczyłem stojący wysoki komin z naszego domu. Z całego gospodarstwa nie zostało nic. Co się stało? W dniu, w którym wyjechaliśmy szukać lekarskiej pomocy, w nocy przy pomocy pocisków zapalających, został spalony dom, a w domu leżał zmarły ojciec, który też się spalił. Stał



tylko na zgliszczach wysoki komin i nic więcej nie było, nie zostało z mojego dziecięcego życia.

W domu wujka Rosjanie urządzili sobie kuchnię. Z naszego spalonego domu wybierali cegły i układali sobie chodniki, aby nie chodzić po błocie do kuchni.

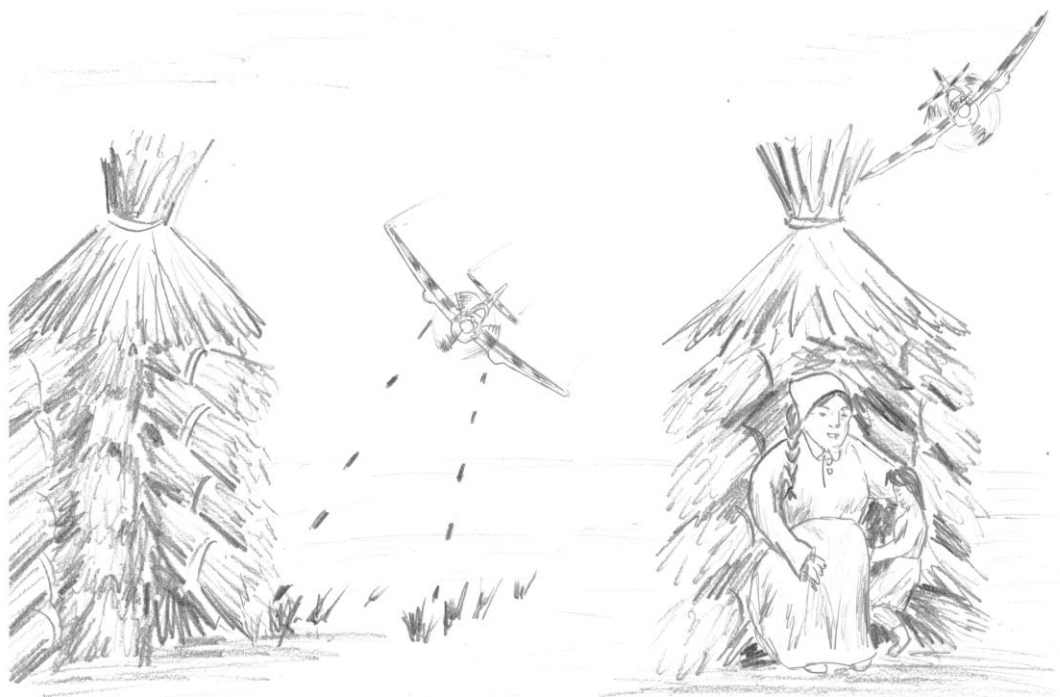
Spaliła się obora, a w niej 4 krowy, 5 świń, 2 konie, a także i stodoła. Nie wiadomo, kto tego dokonał, ale najbardziej mogły te zabudowania przeszkadzać Rosjanom, bo za budynkami mogli ukrywać się Niemcy.

Po wojnie były spalone budynki, przeorane pola gąsienicami czołgów, miny. Wszystkiego brakowało, chodziło się w połatanych ubraniach, latem bez butów, zimą skóra w górze, a podeszwa z drewna. Większość ludzi idąc do kościoła, buty niosła w ręce, a dopiero kawałek przed kościołem ubierano je. Mama miała duże trudności z utrzymaniem gospodarstwa, nie było rąk do pracy, trzeba było wynajmować ludzi do pracy w polu. Brat, mając około 10,11 lat wykonywał prace rolne końmi w polu. W szkole nieraz podczas lekcji z przemęczenia zasypiał. Mając po 14 lat to w żniwa już kosiliśmy zboże w polu.

Wspomnienie mieszkańca Szufnarowej

Urodziłem się w 1934 roku. Jak się zbliżały czołgi, to było słychać taki potężny szum, podobno tych czołgów było około 70. Uciekaliśmy z krowami do lasu. Wzięliśmy z domu tylko kilka rzeczy, ja niosłem masło w półlitrowym garnuszku. To masło schowaliśmy po drodze pod drzewem. Jak wracaliśmy z tego lasu, gdy się front usunął to masło wziąłem z powrotem. W naszym domu byli już Rosjanie. Ja miałem to masło w jakiejś torbie chyba. Gdy Rosjanie to masło zobaczyli to zabrali i chcieli jeść, ale jeden z nich powstrzymał pozostałych, nabrał wielką łyżkę tego masła i kazał mi zjeść. Ja nie chciałem, ale mi kazał i musiałem. Pamiętam, jak mi było potem niedobrze. Chcieli sprawdzić prawdopodobnie, czy to masło nie było zatrute. Dopiero potem smarowali chleb i jedli.

Gdy szliśmy z tymi krowami do lasu było nas chyba ze 7,8 osób. Sąsiadka została jeszcze w domu, żeby powynosić i pochować różne rzeczy, żeby je uchronić gdyby się dom palił. Potem chciała nas dogonić, ale nie szła drogą która była osłonięta drzewami, tylko biegła odkrytym polem. Ona szła tamtędy między kopkami siana. Niemcy się już zbliżali drogą i zaczęli do niej strzelać. Chowała się między tymi kopkami i nie trafili jej. Wyszła do samej góry i przyszła do nas do lasu. Bardzo się bała. Przez całą noc siedzieliśmy w głębokiej skarpie z krowami. Gdy nad ranem strzelanina przycichła, wyszliśmy ze skarpy i poszliśmy do zabudowań gospodarza, który mieszkał w pobliżu. Uwiązaliśmy krowy w stodole. Dorośli wyszli na zewnątrz i chcieli zapalić papierosy. Ktoś zaświeceł zapalną i natychmiast ktoś puścił serię z karabinu. Ale nie chciał w nas strzelić chyba, bo posypała się słoma z dachu. Nie wiemy, czy to był Niemiec, czy Rosjanin. Myśmy szybko uciekli do stodoły z powrotem. Schowaliśmy się w słomie. W tym czasie żołnierze podeszli do stodoły i przez szpary w deskach świecili do środka latarkami. Pamiętam, jak sąsiadka powtarzała tylko, że już po nas, że nas zaraz zastrzelą. Ale po chwili ci żołnierze odeszli i zostawili nas w spokoju. Do dziś nie wiemy, czy to byli Niemcy, czy Rosjanie. Bardzo się wszyscy baliśmy.



Pamiętam, że jak Rosjanie mieszkali u nas w domu, to chodzili polować na zające. Jak upolowali ze 2 zające to gotowali na kuchni i potem jedli. Gotowali też ziemniaki i potem mieszała je z mięsem z takiej dużej konserwy. Pamiętam, że to był bardzo miły zapach tego mięsa z ziemniakami. I jako mały chłopak miałem straszną ochotę, żeby tego spróbować, bo nie było co jeść. Ale oni jedli sami. Od Rosjan nie dostaliśmy nigdy nic. Oni mieszkali w izbie, a my spaliśmy na strychu.

W sadzie nie tak blisko od nas, były skrzynie z amunicją. Były poskładane wysoko, aż pod konary. Były złożone pasami, w pewnych odstępach od siebie, bo gdyby się jeden pas zapalił, to by się reszta nie zajęła. Niemcy z dużej odległości strzelali z dział do tej amunicji. Ale kule spadały o kilkadziesiąt metrów za blisko, bo w pobliżu naszego domu. Jedna z kul spadła nad rzeką, pamiętam do dziś to miejsce, druga wpadła w buraki sąsiada, trzecia w nasze ogórki i czwarta w dom po drugiej stronie, na strych, uderzyła o komin. Ale tylko

jedna z tych kul eksplodowała. To ta, co spadła w nasze grządki, dokładnie w ogórki. Odłamki uszkodziły dachówkę na dachu naszego domu i tatuś załatał to kiczkami, czyli uplecioną słomą. A mnie odłamek trafił w palec u ręki. Do dziś palec jest krzywy. Tą kulę która wpadła na strych i nie eksplodowała, to Rosjanie wynieśli w pałatce. Miała podobno około 45 cm i długo tam jeszcze leżała.

Żydzi mieszkali w Szufnarowej. To było już wtedy, gdy Niemcy ich mocno prześladowali. Pewnego razu w nocy przyszło do nas dwóch Żydów. Pukali do okna, tatuś ich wpuścił. Wszyscy się bali, bo za pomoc Żydom była tylko jedna kara, kara śmierci i to dla całej rodziny. Ale tatuś ich przyjął. Okazało się, że młodszy z nich był chory. Starszy chciał pójść po lekarstwo dla niego do apteki. Młodszy położył się na kanapie, bo był chory. Starszy mówił, że wróci za dwie godziny. Po dwóch godzinach go nie było. Za jakiś czas ten jednak przyszedł z lekarstwem. Chciał, żeby im dać coś do jedzenia. Tatuś im dał chleba. Po jakimś czasie poszli.

Nasza sąsiadka opowiadała kiedyś, że jak szła w czasie okupacji do sąsiedniej wioski, jechał wóz z koniem. Na tym wozie leżały na deskach dwie nieżywe, zastrzelone Żydówki. Z tego wozu lała się krew. Furman, któremu kazali jechać, wioził je, żeby zakopać. Opowiadała, że zakopali ich na skraju lasu, dużo ludzi wiedziało, gdzie.

Nie wolno było mleć w żarnach, trzeba było oddawać kamienie od żaren. U nas tatuś chował ten kamień w rzece pod korzeniami. Jak trzeba było umleć zboża, to przynosił ten kamień, miało się, tylko ktoś musiał pilnować, czy nikt obcy nie idzie. Potem, jak się umiełało, to sprzątało się żarna do czysta, a kamień znowu do rzeki. W żarnach są dwa kamienie, to jeden mógł być, bo jednym się nie dało mleć.

Nie wolno było też wyprawiać skór. Pamiętam z opowiadania taki przypadek.

Jeden mieszkaniec blisko drogi wyprawiał potajemnie skóry w tzw. izdebce. Nie spostrzegł, że podjechali Niemcy i już nie zdążył nic ukryć, bo weszli się napić. Jeden z nich otworzył drzwi do tej izdebki, gdzie leżały te skóry. Ale zaraz je zamknął. I jak drugi Niemiec podszedł do tych drzwi, to mu coś powiedział i wyszli. Ten gospodarz myślał, że oni wrócą zaraz, żeby go za to ukarać i uciekł daleko w las. Po jakimś czasie zaczął obserwować dom, ale oni nie wrócili. Okazało się, że ten Niemiec, który widział te skóry nie chciał go za to ukarać, uratował go przed tym drugim Niemcem. Te skóry ze zwierząt, które ludzie w ukryciu zabijali to najpierw się moczyło w wapnie, żeby odchodziła sierść. Potem się moczyło razem z korą z drzew iglastych z żywicą, którą się ściągало z drzew. W ten sposób się wyprawiało. A potem, jak ta skóra wybielała, to był taki proszek „migruzyna”, który się rozpuszczało w wodzie i barwiło skórę na różne kolory, przeważnie na czarno. Trzeba było wiedzieć, ile dać tego proszku, bo jak było za dużo, to się mówiło, że się przypaliło skórę. Ta skóra po tym wszystkim zmiękla i z tej skóry się robiło buty.

Pewnego razu w nocy Niemcy zrobili łapankę. Ja miałem dwie starsze siostry. Najstarszą już by Niemcy mogli zabrać na roboty do Niemiec. Pamiętam, że spaliśmy wtedy. Ktoś jednak dał znać, że będzie zaraz łapanka i najstarsza siostra zdążyła uciec i schować się niedaleko domu, w bruździe, w pszenicy. A my zostaliśmy w domu. Przyszło dwóch Niemców, popatrzyli na nas i pamiętam, jak mówili:- Klajne, klajne!, czyli byliśmy za mali. Kiedy od nas wyszli, to poszli w stronę, gdzie była schowana siostra, do następnych domów. Przechodzili blisko niej, słyszała dokładnie jak rozmawiali po niemiecku. Przechodzili dwie bruźdy dalej może. Jakby ją zobaczyli, to by na pewno zabrali na roboty.

Byliśmy na wysiedleniu dwa razy. Najpierw jak był front i potem drugi raz. Chodzili dziesiętnicy i nakazywali ludziom, żeby szli na wysiedlenie. Ludzie nie chcieli iść, bo trzeba było wszystko zostawić. Pamiętam, że jak do nas przyszło dwóch dziesiętników, to jeden

mówił, żeby natychmiast się wynieść! A ten drugi za jego plecami kręcił głową, żeby jeszcze się nie śpieszyć. Zabraliśmy ze sobą dwie krowy. Potem drugi raz byliśmy na wysiedleniu. Tam pierwszy raz jedliśmy pytlowane kluski, czyli kluski z białej mąki. Pamiętam, że tam koło takich starych wierzb stały kuchnie polowe Rosjan. Z wysiedlenia od czasu do czasu przychodziliśmy do domu. A potem my wróciły do domu po jakimś czasie.

Pewnego dnia podczas okupacji, było to w niedzielę po południu, siedzieliśmy wszyscy przed domem. Nagle zobaczyliśmy, że jedzie do nas pod górkę samochód z Niemcami. Podjechali. Powstał straszny popłoch, bo przybycie Niemców nie wróżyło nic dobrego. Jak do kogoś przyjeżdżali, to znaczy, że on jest czemuś winien, zrobił coś wbrew zakazom, albo był na niego jakiś donos. Nie wiadomo było, o co chodzi, na ucieczkę było za późno. Niemcy zaczęli wołać do mamusi: Kom! Kom! (Chodź! Chodź!). A koło rzeki chodziły gęsi. I pytali się, czyje to gęsi. Mamusia odpowiedziała, że jej. Wtedy oni zaczęli pokazywać jakieś garnki i mamusia zrozumiała, że oni chcą za te gęsi dać te garnki. Były to prawdopodobnie naczynia ze sklepów żydowskich albo po Żydach, bo to był czas, kiedy Żydów już nie było, albo się ukrywali. Mamusia się oczywiście zgodziła. Oni jeszcze chcieli, żeby za tydzień inni ludzie przynieśli żywność, kury, gęsi, miód, jajka itp. Nie mówili po polsku, ale jakoś na migi trochę i się porozumieli. Za tydzień kilkoro ludzi przyniosło różne jedzenie. Niemcy płacili tymi garnkami i mieli jeszcze jakieś ubrania. Ludzie chętnie wymieniali jedzenie, bo nie było możliwości zdobycia garnków ani ubrań.

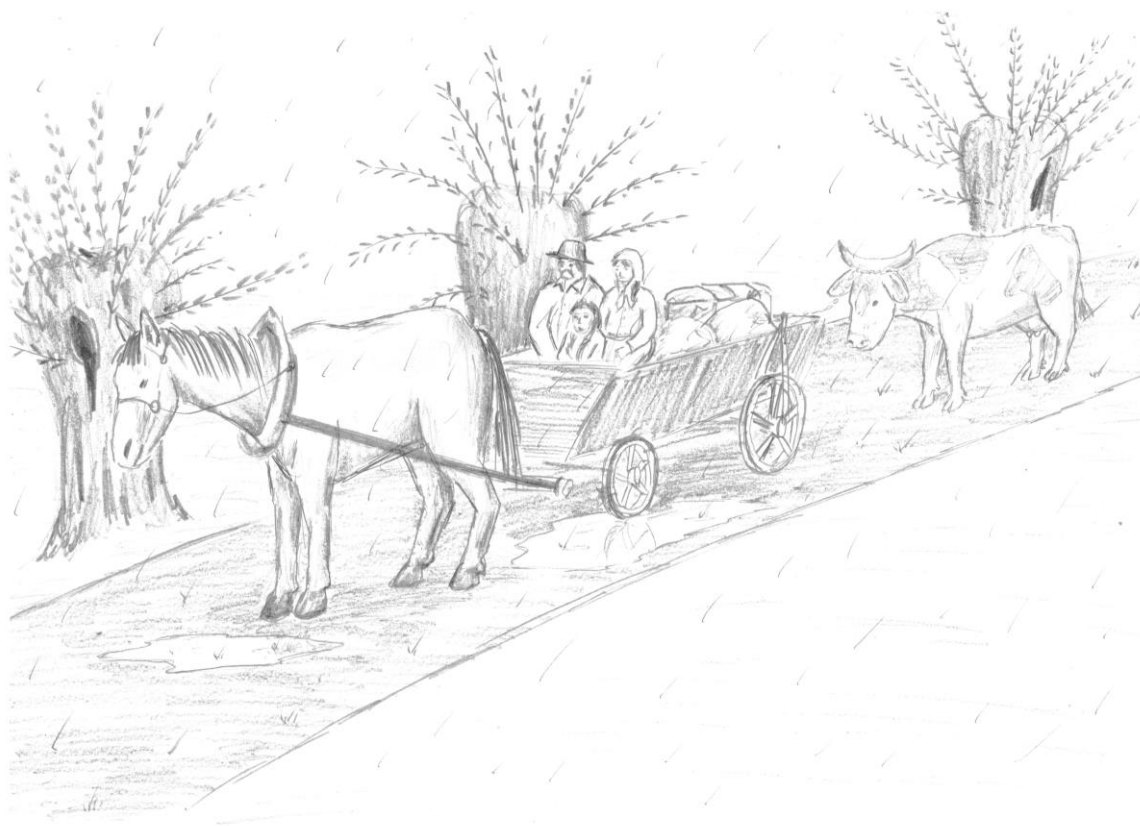
Gdy był budowany tunel w Stępinie, to wszyscy, którzy mieli konie, musieli podstawiać te konie na stację w sąsiedniej miejscowości w wyznaczone dni, tam były ładowane materiały i odwożone do Stępiny. Ale przed tunelem konie odbierał Niemiec, bo innym nie wolno się było zbliżać do tunelu. Potem pusty wóz znów odbierał furman. Trzeba było równocześnie dwa konie, więc łączyli po dwa i wozili. Z początku dawali za to owies dla koni, ale to było krótko.

Wspomnienia przeżyć babci, przekazane przez wnuczkę

Babcia urodziła się w 1932 r. Miała zaledwie 7 lat gdy zaczęła się II wojna światowa, początków zatem nie pamięta. Najwięcej negatywnych wspomnień posiada z okresu, kiedy front wojenny przechodził przez okolicę. Miała wtedy 11 lat.

Wszędzie było pełno wojsk niemieckich i rosyjskich, przejeżdżały czołgi i wybuchały granaty. Przez tydzień ukrywali się w piwnicy niedaleko domu. Jej mama z tatą ukradkiem wybiegali, kiedy wokół domu było w miarę bezpiecznie, by nakarmić krowy, konia, kury, czy przygotować jakąś strawę, czym najczęściej była ówczesnie paciara (mleko gotowane z mąką) i przynieść mleko, którym się żywili. Po tygodniu przenieśli się do sąsiada, który posiadał bardzo dużą piwnicę, gdzie mogli sprowadzić także krowy, koźlęta i konia. Po kolejnym tygodniu zapakowali, co było możliwe na wóz zwany litrami, wóz wyścielony był słomą, a na nim siedziało troje dzieci i dwa koźlęta, które musiała trzymać. Pamięta, jak

przez całą drogę nogi tym koźlętom uciekały pomiędzy szczebelki i nie mogła sobie z nimi poradzić i przeplakała całą drogę.



Na wysiedleniu przyjął ich ksiądz, u którego zamieszkali w dużej stajni, zabrali ze sobą jakąś pościel, którą mogli się okryć śpiąc na słomie. Rodzice pomagali księdzu w gospodarstwie, jej mama pomagała także w domu i piekła chleb, który wraz z mlekiem były ich przeważającym pożywieniem. Spędzili tam około dwóch tygodni. Po powrocie do domu po drobiu nie było już ani śladu, na szczęście dom był nienaruszony. Bitwa na froncie ciągle trwała. Rosjanie wysiedlali mieszkańców niektórych domów i tak do ich rodzinnego domu sprowadzono sąsiadów. Pewnego dnia żołnierz rosyjski idąc na obchód usłyszał, jak dwóch leżących mężczyzn wydaje dziwne odgłosy. Zapytał, czy są umierający. Gdy syn jednego z nich potwierdził, żołnierz naznaczył coś na drzwiach i przez kilka kolejnych dni żołnierze nie wchodzili do tego domu, obawiając się zaraźliwej choroby. Niestety nie trwało to długo, po jakimś czasie wysiedlano już wszystkich mieszkańców. Wtedy rodzina babci znów pozbierała co można było zabrać ze sobą, kilka ubrań, pościel i suszoną słoninę, owoce i wyruszyli w innym kierunku, gdyż tam było spokojniej. Jechali, pytając po drodze, gdzie mogą się zatrzymać. I tak wylądowali u pewnej rodziny, przyjęto ich tam bardzo ciepło. Rodzice pomagali na roli, ale byli także w tym czasie na rodzinnej gospodarce, gdzie ukopali trochę ziemniaków, które przywieźli na wysiedlenie, gdzie obecnie mieszkali. Babcia była najmłodsza, więc wraz z mamą została przyjęta do domu, gdzie dostały nocleg na łóżku, co na obecne czasy było wyjątkowym luksusem. Ojciec wraz z dwoma braćmi babci nocowali w stodole na słomie. Bardzo pozytywnie wspomina gospodynię, u której mogli się zatrzymać, która „chleba im nie żałowała”. Po około dwóch

tygodniach tam spędzonych powrócili do Szufnarowej, ale nie mogli jeszcze wrócić do swojego domu. Zatrzymali się u pewnej rodziny, gdzie pozostali jeszcze około tygodnia czasu. Po powrocie do domu wojska rosyjskie już odeszły z terenu Szufnarowej. Dom był nienaruszony, a w środku bałagan pozostawiony przez mieszkających tam żołnierzy, chociaż w ich domu o tyle znaleźli się przyzwoiści żołnierze, że nie pozostawili odchodów w całym domu, jak u niektórych sąsiadów. Najgorszym przeżyciem była wszawica, podczas pomieszkiwania w piwnicach babcia nabawiła się zapalenia skóry głowy, a potem wszawicy. Bardzo ciężko było się tego pozbyć, z racji braku jakichkolwiek preparatów. Próbowano, co prawda, smarowania naftą używaną do lamp, niestety to nie pomagało, a do tego pachniało okropnie. Dopiero jak wojska opuściły teren gminy, zorganizowano akcję odwszawiania w całej okolicy.

Poza przenoszeniem się z miejsca na miejsce, babcia pamięta wydarzenia dotyczące innych mieszkańców Szufnarowej. Jej mąż był o 12 lat starszy i gdy rozpoczęła się wojna, był już dorosłym mężczyzną, jakich Niemcy potrzebowali do pracy. Organizowano tzw. łapanki i wojsko niemieckie wywoziło młodych ludzi do pracy. Tak samo stało się z mężem. Potencjalni pracownicy transportowani byli pociągiem, niedaleko przed ówczesną niemiecką granicą. Pociąg miał dłuższy postój i wtedy właśnie mąż z kolegą postanowili uciec. Skorzystali z okazji i wyskoczyli z pociągu, uciekając do najbliższego lasu. Prawie całą drogę do domu pokonali piechotą, idąc w dużej mierze zaroślami, by ich ponownie nie złapano. Bardzo dużo pomocy otrzymali od mieszkańców, których mijali, niektórzy ich nakarmili, inni przenocowali. Dziadek wspominał pewną dziewczynę, która zauważyła ich z daleka na otwartej przestrzeni i bardzo szybko dawała im znaki, aby padli, ponieważ co chwilę Niemcy robili tam obchód. Mężczyźni doczłógali się do domostwa owej dziewczyny, gdzie zostali nakarmieni i pozwolono im tam spędzić część nocy, zanim przed świtem musieli udać się dalej, żeby zdążyć odejść, zanim żołnierze przeprowadzą poranne kontrole. Mężczyznom udało się też kawalek przejechać pociągiem, ale nie była to długa podróż, gdyż i w pociągu byli niemieccy żołnierze. Ostrzeżono ich również, że na kolejnej stacji roi się od wojska, dlatego opuścili pociąg i dalej szli piechotą. Wracali do domu ponad tydzień czasu, ale dotarli. Dziadek był w tzw. partyzantce, służył przez jakiś czas także w Armii Krajowej, przez co po wojnie musiał się ukrywać w piwnicy pod domem, gdy tylko ktoś się zbliżał, ponieważ policja aresztowała wtedy byłych żołnierzy AK. Bolesne jest również wspomnienie, że nie tylko przed policją trzeba było się ukrywać, ale także przed rodakami - konfidentami, którzy wydawali byłych żołnierzy AK nowej policji. Podobnie jak wcześniej informowali wojska niemieckie o młodych ludziach sprawnych do pracy, których można było wywieźć na przymusowe roboty. Konfidenti zachowywali się tak z różnych pobudek, ale najczęściej robili to, by sami nie zostali zabrani. Trójka rodzeństwa Juliana została zabrana na przymusowe roboty do Niemiec. Siostra dziadka została przekierowana do dużego gospodarstwa. Poza ciężką pracą na roli, wspominała ona wyżywienie. Gospośia, która doła krowy, nie dbała o czystość i zazwyczaj na mleku, które przynosiła razem z chlebem, unosiło się wiele paprochów, które pracownicy musieli jakoś ominąć, bo nie było opcji, że pożywią się czymś innym. Wpływowi rolnicy niemieccy przyjeżdżali na stację, gdzie przyjeżdżali pracownicy, płacili żołnierzom i wybierali sobie do pracy u siebie pracowników, którzy im odpowiadali.

Dwoje z pozostałych rodzeństwa pracowało w fabryce amunicji, jak wielu innych Polaków. Obydwoje bardzo mocno przeżyli te roboty. Obydwoje wspominali straszny głód. Brat był jeszcze bardzo młodym chłopcem i mocno odbiło się to na jego psychice. Wspominał również, jak ze stanowiska produkcyjnego przenosili po dwa ogromne pociski do magazynu, w specjalnie przeznaczonych do tego kaburach zakładanych jak plecak. Spędzili tam ponad dwa lata, mieszkając w zbiorowych barakach. Brat babci także pojechał na

przymusowe roboty do Niemiec i pracował razem z rodzeństwem dziadka przy produkcji amunicji.

W czasie, kiedy Niemcy organizowali łapanki młodych ludzi, zastrzelony został niedaleki sąsiad. U jego rodziny ukrywała się przez jakiś czas w piwnicy rodzina babci. Ukrywając się w lesie przed wojskiem, chciał przyjść do domu i wtedy niemiecki żołnierz zastrzelił go przed samym domem.

Babcia mojej babci, także została zabita przez niemieckiego żołnierza, gdy wyszła po masło ukryte w krzakach. Babcia wspomina swoją babcię bardzo ciepło, żałując, że nie mogła spędzić z nią więcej lat.

Babcia pamięta także sąsiada, którego zabił granat. Jego rodzina, jak inne rodziny w Szufnarowej, ukrywali się w piwnicy, gdy wokół ich domostw szalała wojna. Rosyjski żołnierz schował się u nich w tej piwnicy, a niemiecki wrzucał za nim do owej piwnicy granaty zsypem. Sąsiad, chcąc uchronić swą rodzinę, łapał te granaty i wyrzucał na zewnątrz, gdy granat był wrzucony zaraz po odbezpieczeniu, było jeszcze na tyle czasu, by wyrzucić go znów z piwnicy. Żołnierz widząc, że w taki sposób nie wygra, odczekał chwilę po odbezpieczeniu granatu i wrzucił go do środka. Gdy sąsiad chwycił granat, ten wybuchł mu w rękach i zginął, ale uratował swoją rodzinę. Rodzina przeniosła zwłoki do domu, który potem spłonął razem z jego zwłokami. Niestety nie wiem, z jakich przyczyn dom się zapalił. Wybuch granatu poranił ręce synom tego sąsiada. O lekarza było bardzo trudno w okolicy. Przyszły mąż babci, pomagał im dotrzeć do szpitala, zabrali ze sobą także dziewczynę, która służyła wtedy u innego sąsiada. Ona była w gorszej sytuacji, ponieważ miała mocno poranione nogi i nie mogła chodzić.

Okres wojny, kiedy już niemieckie wojska dotarły na Podkarpacie był bardzo ciężki dla wszystkich mieszkańców. Niemcy obrali taktykę, że nie wymordują tak po prostu mieszkańców, tylko uzależnią ich od siebie doprowadzając do straszliwego głodowania. Nie wolno było nikomu zabić trzody, jeżeli komuś udało się już to zrobić, ludzie chowali mięso czy słoninę lub smalec gdzie tylko mogli. Babcia pamięta takich, którzy chowali jedzenie nawet w ulu, w którym nie było pszczół. Nie pozwalano nawet mieć mąki. Wtedy praktycznie każde gospodarstwo lub sąsiedzi na spółkę mieli własne żarna, dzięki którym pozyskiwali mąkę. Aby zmielić zboże, trzeba było zebrać się w nocy, a żarna były ukrywane np. pod stosami słomy, by nie zostały skonfiskowane. Ponieważ babcia była najmłodsza i nie dała rady pomóc, stała często na czatach, wypatrując, czy nikt się nie zbliża. Babcia pamięta także pewną historię związaną właśnie z pracą przy żarnach. Do pewnego domu przyszedł rosyjski żołnierz i prosił, żeby podano mu chleba, ale tego chleba nie otrzymał. Wyszedł z domu owej rodziny i zaraz został zabity przez Niemca. Od tej pory zaczęły dziać się dziwne rzeczy, kiedy zaczynano mieć zboże. Ci którzy byli w środku słyszeli pukanie od zewnątrz, wychodzili sprawdzać, ale niczego ani nikogo nie było. Jeżeli stawali na zewnątrz, a inni próbowali pracować przy żarnach, pukanie było słychać od środka. Wielu ludzi chodziło sprawdzić, czy i oni będą słyszeć owe pukania i każdy je słyszał. Owa rodzina składała ofiary, by ksiądz odprawił mszę w intencji, by dziwne zjawiska zniknęły. Niestety jednak ciągle pukanie było słychać, gdy tylko żarna szły w ruch. Opowiedzieli całą historię księdzu i on zaproponował, by złożyli w ofierze za mszę chleb. Po odprawieniu owej mszy pukanie ucichło.

Babcia pamięta również pewną piosenkę śpiewaną pod koniec wojny, kiedy już wojska niemieckie wycofywały się, a zesłani na przymusowe roboty ludzie jeszcze nie wrócili. Tuż po wojnie zabronione było jej śpiewanie. Tekst tej piosenki brzmiał następująco:

„Polsko kochana, któraś powstała
Okrutnie przez 5 latek cierpiałaś.
Niemiec narzucał na Cię kajdany
I męczył ludzi, Boże kochany!
Zabierał ludzi do kraju swego,
By pracowali w Niemczech dla niego.
Niejeden ciężką pracą znużony
Od swych rodziców był oddalony.
Żona na męża czeka, mój Boże!
Ach, nie powróci do Ziemi już może.
Rodzice na swych dzieci czekają,
Tydzień z tygodnia ich wyglądają,
Bo ich już 5 lat w domu nie mają.
Bili, strzelali przekłete katy,
Trzeba się było żegnać z tym światem.
Pięć lat nas Niemcy prześladowali
I konfidenty dopomagali.
Dziś konfidentów już przyłapują,
Niemcy z rozpaczą ich nie ratują.
Nie dają biletu na margarynę
I dodatkowo na sacharynę...”

Wspomnienie małżeństwa mieszkającego w Szufnarowej

Żona: Ja miałam 7 lat, a mąż 13. Do szkoły zaczęłam chodzić dopiero po froncie. Przed wojną żyło się skromnie. Mój tata był szewcem, to tak źle nie było. Zawsze trochę zarobił. Ludzi dużo przychodziło. Wtedy butów nie kupił, tatuś robił buty. Było gospodarstwo. Byłam ja, mama, tata i siostra starsza ode mnie trzy lata. Mieszkaliśmy tutaj, gdzie dziś tylko w tym domku obok. Stodoła stoi do dziś.

Jak wybuchła wojna, to pierwsze szły eskadry samolotów. Po 9 samolotów. Już my mówiły, że coś się dzieje. Były takie rozmowy, że coś nie w porządku jest w świecie, że będzie wojna. Te eskadry szły jeden dzień, drugi dzień, mówili, że trzeba się będzie przygotować na wojnę. Pamiętam, jak rodzice to wszystko mówili. I tak było. Przyszła raz wiadomość, że do wsi z dwóch stron jadą czołgi. Gdy się spotkały zrobiła się strzelanina. Ruskie strzelili w niemiecki czołg. Zginęli Niemcy. Jak tata był chować tych żołnierzy,

to mówił, że ten Ruski, który trafił w ten niemiecki czołg, to był taki młody chłopak i podnosili go do góry i cenili za to, że trafił. Tata był z sąsiadami chować tych żołnierzy, bo chyba siedmiu ich zginęło. Jak te czołgi szły, to mama chleb piekła, żeby był, miałyśmy od kogoś zamówione masło, bo nasza krowa się wtedy nie doiła, zamawiały my masło, za to, że tata zrobił komuś buty. To poleciały my po to masło, a to soli, cukru troszkę trzeba. A to było o wszystko ciężko. Już my się szykowali na to, że trzeba stąd się usunąć, bo będzie front. Jak tata wrócił od tego pochówku, to mówił, żeby uciekać, ale do lasu najpierw. No to poszliśmy do lasu. Tam był taki duży dół, tam my trochę posiedziały, ale strzelanina już była, jeden pocisk spadł tutaj, po sąsiedzku, wyżej tego mojego starego domu. Zabiła tam cielę, bo było na polu, latało. W naszym ogrodzeniu, w którym pasło się krowy było tak odłamków, że dziwiły my się.



My w lesie, tata został bo była krowa i wszystko tu było. Tata stemplował piwnicę (wbijał kołki, żeby podtrzymać strop) i wszystko z domu tam wynosił. No i dawał krowie jeść. A my w tym lesie siedzimy. Wszystko wystraszone, tylko się trzęsło. Łyżkami, nożami, czym kto mógł grzebał dołki, żeby się skryć. Z drzew leciały liście, znowu kula nad nami przeszła. Tata przyleciał po nas. Mówił, że musimy wychodzić i do domu wracać, on wszystko już przygotował, nawet słomy do domu naniósł, żeby pociski się zakreśliły w tej słomie, gdyby spadły. Wyszliśmy z tego dołu i idziemy do domu. A tu patrzymy ratuje siostra swojego brata. Ten brat był ciekawy, co się będzie działo, wszyscy byli w piwnicy, a on stanął za drzewem, za jagodą i dostał odłamkiem w bok. I ta siostra jego wkładała do wiadra prześcieradło, wykręcała i kładła na tą ranę, a krew buchała z tej rany. On niedługo zmarł. Jak przyszliśmy do domu, to przyszedł taki goniec i mówi, że wysiedlenie. Bo front będzie tutaj szedł. No to my już trochę byliśmy przygotowani na to, tata wszystko pochował. Powiedział, żebyśmy szli, a on zostanie. No i on został, dopiero później do nas dołączył. Najpierw

poszliśmy do sąsiedniej miejscowości, szliśmy szosą, nikt nas nie zaczepiał. Przyjęli nas w jednej rodzinie, bardzo blisko drogi mieszkali, ale my się bały, bo tak wszystko kontrolowali, wydawało nam się, że to za blisko szosy. Poszliśmy do kolejnej wsi, ja tam miałam ciotkę, myślałam, że tam zostaniemy. Ale nas było czworo i tam też było czworo dzieci, było strasznie ciasno i mówimy, że pójdziemy jeszcze dalej i będziemy szukać miejsca jakiego. Poszliśmy przez górę, bardzo fajne miejsce my znalazły, trafiliśmy na dobrego człowieka, który mieszkał sam. U niego my zostały, on się ucieszył, bo był sam. Miał gospodarkę. Mama jak gotowała, to dla niego też, był zadowolony. I tam byliśmy trzy tygodnie. Przyszedł do nas tata. Przyniósł sobie trochę materiałów, żeby robić buty. A w międzyczasie będzie dochodził do Szufnarowej. Ktoś tu został, tak, że tej krowie, to ktoś dawał jeść.

Tata otwierał okno i robił te buty przy oknie. Przyszedł raz ruski żołnierz, bo tam też byli żołnierze, oni byli tak wszędzie rozproszeni, i chciał, żeby mu tatuś pokazał buta. But był jeszcze niedokończony, ale mu pokazał. Ruski chciał drugiego, żeby przymierzyć. Tata mu podał, a on wtedy w nogi z tymi butami. Tata wyszedł na pole i zaczął wołać, żeby oddał, a on zaczął strzelać, tylko na szczęście w górę. No to tatuś się wrócił. Byliśmy tam trzy tygodnie. Wróciliśmy, wszystko mieliśmy w piwnicy schowane, na szczęście, bo do domu się Ruscy wprowadzili, to w szafach i wszędzie było jakie tylko dziadostwo. Było wszystko strasznie brudne. Wynosiliśmy wszystko na pole i musieliśmy wrzącą wodą wyparzać. I z powrotem bieleć ściany musieliśmy.

Po wojnie, pomalutku wszystko się do domu wniosło i jakoś się żyło, a w jesieni poszłam do szkoły. W szkole były zniszczenia, całe takie odłamy leżały.

Wojna była najgorsza, bo człowiek się bał, trzeba było uciekać, mama nas za ręce jedną i drugą brała i uciekałyśmy. Później się trzecia siostra urodziła i jeszcze dwóch braci.

Jak byłam w szkole, pewnie w trzeciej klasie, przychodziło z Ameryki bardzo dużo ubrań, witaminy, które dawali dzieciom, mleko w proszku, takie różne rzeczy, to w szkole to rozdawali. Rodzice na ile mogli, to się starali, żeby wszystko, co możliwe nam zapewnić. Rosjanie zachowywali się różnie. Jak się dało, to kradli. Niemcy kupowali, nie kradli. Tu wyżej u wujka Rosjanie mieli kuchnię polową.

Jak wróciliśmy z wysiedlenia, to pamiętam, że był taki kucharz, który mówił, że on zostawił pięć riebiat (dzieci), bardzo to przeżywał. Dawał nam cukier w kostkach, jak coś ugotowali, to chcieli, żebyśmy spróbowali. Ale było też tak, że kradli. Był kontygent, nie wolno było na przykład zabijać świń, trzeba było oddawać. Jak ktoś podał, to przychodzili, od razu gospodarza zabierali. Pewnego razu przyszło do nas czterech, mnie jeden wziął między kolana, mówi: - Chodź tu dziewczynko. A ktoś z sąsiadów doniósł, że mama gotowała rosół. Wtedy płacili za to, jak ktoś o czymś doniósł. Ten Niemiec pytał mnie, gdzie tata. Myśmy już wcześniej zauważyli, że idą. Obiecywał mi cukierki. A ja mówiłam, że nie wiem. Wiedziałam, że tata poszedł na strych, ze strychu były takie drzwiczki z boku, tata z nich skoczył i poszedł w las. Posiedzieli chwilę i poszli. Aleśmy się strasznie bały. Pamiętam, jak wszyscy siedli na ławce i mnie tak między kolana wzięli.

Mqż: Jak byliśmy na wysiedleniu, to krowy nie miały gdzie się paść. Mieliśmy taką starą krowę o imieniu Malina. To była mądra krowa. Mieliśmy na tym pastwisku trzy krowy. Jak ta Malina zobaczyła, że nie ma co jeść, tak zaczęła gonić z powrotem do Szufnarowej, tą samą drogą którą przyszliśmy. A ja za nią. I przyleciała do Szufnarowej. Pod wieczór już było. Myślę sobie, że skoro już jest w Szufnarowej, to może się popaść. Ona się pasła, a ja poszedłem w las, z samego kraju. Tam było strasznie dużo prawdziwków. Przychodzili my na te przepustki. Jedną noc nie poszedłem na wysiedlenie, tylko na strychu w słomie spałem. Ale niebezpiecznie było, bo jak szukali, to kłuli słomę, siano widłami, albo przebijali bagnetami. Więc do pierwszej godziny śpię czujnie. Nagle słyszę jakiś warkot, ale daleko. Ale coraz bliżej ten warkot słysząc. I przyjechał pod dom, pod las, jakiś pojazd. A ja już na wpół umarty ze strachu, bo jak robią rewizję, to już żywy nie wyjdę. I tam gdzieś

rozmawiali, ale to byli Ruskie. Porozmawiali, wsiedli do tego pojazdu i odjechali. Rosjanie jak na przykład jechali z góry i nie było hamowania, to potrafili jechać obok po zbożu, nie patrząc, że niszczą.

Żona: U tych ludzi, gdzie tego cielaka zabiło, była taka dziewczynka, ich córka. I myśmy poszły się z nią kąpać do rzeki i w tym czasie ta kula koło jej domu spadła. Całe szczęście, żeśmy się nie bawiły koło domu. W jednym miejscu w Szufnarowej mieszkali Żydzi. Pukali czasem nocą do okien, żeby im dać jeść. Ludzie się bali, bo jakby ktoś podał, to zaraz by przyszli, zabrali i rozstrzelali. Ale w nocy to nieraz przez okno im chleba, albo czegoś dawali.

Mąż: Nie do każdego domu Żydzi szli, bo były takie domy, że wiedzieli, że tam iść nie mogą, bo zaraz by donieśli do Niemców.

Była łapanka na roboty do Niemiec. Przyjechali o czwartej godzinie nad ranem. Brat był starszy ode mnie, no to już musiał uciekać przed łapanką, żeby go nie wzięli. Taka strzelanina była, on wyskoczył z łóżka i w las. Ja za nim, w strachu byłem, miałem 13 lat. I jeszcze jedna sąsiadka też uciekła. Była taka potężna jodła na skraju lasu. We trójkę my siedzieli na tej jodle. Ja byłem tylko w koszuli, to było gdzieś pod koniec maja, było zimno i byłem tak zmarznięty, że dostałem takich drgawek. No i siedzieliśmy od czwartej w nocy do jedenastej. Słysząc było jak łapali tych ludzi: strzelanie, huk, krzyk, wrzawa. Jak polowanie. O jedenastej byłem zmuszony zejść z tego drzewa, bo jakbym dłużej posiedział, to bym był taki drętwy z zimna, że bym spadł. Nie utrzymałbym się dłużej. Pomalutku się uspokoiło, no to tak sobie myślę, że już nałapali tych ludzi i odjechali. Tymczasem doszedłem przed dom, szedłem rzeką, były takie zarośla, więc był zamaskowany teren. Zauważył mnie jednak jeden policjant, jeszcze mu brakowało ludzi, bo każdy z nich miał złapać ileś osób. Jak mnie zauważył, mówi: - Chodź do mnie. On stał koło sąsiada. I ten policjant mówi: - Masz szczęście, żeś nie uciekał, bo bym ci strzelił w tyłek. Tamten sąsiad dał znać do tatusia, do mamusi, że jestem tu taki półnagi, przemarznięty. Przynieśli mi coś się ubrać, a ten policjant już mnie trzymał pod bronią. Mamusia prosi, że to jeszcze dziecko, do szkoły chodzi. Ale to nic nie dało. I on mnie prowadzi, a mamusia z tatusiem za mną. Tam czekało siedem furmanek. Jak łapali tych ludzi, to jeszcze znaleźli niekolczykowane krowy, cielęta, to wszystko zabierali. Jak odjeżdżali furmankami z tymi ludźmi, to naprzód te zwierzęta gnali. Łapanka już była zakończona, tamci ludzie już odjeżdżali furmankami. A ten policjant ze mną się zatrzymał i skorzystał z okazji, że mnie złapał. Mamusia jeszcze jakąś odzież miała i coś tam jeszcze i pożegnanie, bo pojedę do Niemiec. A jak mnie tam ten milicjant zaprowadził, to zaraz na wóz, tylko mamusia zaczęła prosić, tak podchodzić do niego, a on zaraz karabin tak skierował, że jej nie dopuścił do siebie i nie chciał rozmawiać. Bo to chodziło o to, że to dziecko jeszcze byłem. Dwóch policjantów siadło na tę furmankę, na której ja siedziałem, a on pojechał rowerem za furmankami. Tam już nałapali ludzi, na samochody załadowali, a tatuś z mamusią czym prędzej na nogach, żeby jeszcze jakie papier mi dać i coś, żebym mógł z Niemiec tu napisać, dać znać, że jeszcze żyję. I tam był Niemiec, który prowadził ten transport. Tatuś z mamusią gdzieś z boku stali i widzieli, jak ten, co mnie złapał to przyjechał rowerem, a mnie jeszcze nie było, bo nie było tej ostatniej furmanki, dlatego, że tam był taki byk ciężki i ta furmanka jechała za tym bykiem pomaleńku, tak, że daleko został ten furman w tyle. Ten Niemiec, który kierował transportem patrzył z samochodu co chwilkę na zegarek. A ten, który mnie złapał był wściekły, co się ze mną dzieje i patrzył, czy nie jedzie ta ostatnia furmanka. A ten Niemiec z samochodu naraz dał rozkaz, żeby jechać. Bo w Krośnie był już ustawiony transport ludzi, żeby jechać do Niemiec. I ten samochód odjechał z ludźmi, tatuś z mamusią jeszcze zostali, no i obserwowali co będzie, bo mnie nie ma, ani tej furmanki. Naraz ja przyjechałem. Pilnowało mnie dwóch policjantów, ale nie ten, co mnie złapał. Był taki żywopłot wysoki, wysiedli obaj policjanci, co mnie pilnowali i zabrali się i poszli. A ja zostałem na tej furmance. Za chwileczkę oni wrócili się z powrotem, bo zapomnieli latarni. W nocy łapali, to mieli takie latarnie. Wzięli te latarnie, ja siedziałem nadal na tej furmance.

Oni po prostu mieli litość, widzieli, że ja to dziecko. Poszli do takiej jakiejś poczekalni i mnie zostawili. A ten furman mówi do mnie: - Uciekaj! No to zeskoczyłem z tego wozu. Ale gdzie uciekać? Jak bym uciekał gdzieś w bok, to mnie zauważą i zaraz zastrzelą. Pomyślałem, że w kierunku szosy, a na szosie były samochody, a rowami wojsko. Ale nie wolno mi było kroku przyspieszyć, tylko pomału, bo jakby mnie zauważył jakiś Niemiec, że uciekam, to by mnie zaraz zastrzelił pewnie. Skręciłem w pierwszą przecznicę na drodze, jak mnie już nie było widać, to ile mogłem wyskoczyć uciekłem w las. W lesie nocowałem. Ten Niemiec, który mnie złapał, rowerem jechał za tym furmanem, który mnie przywiózł, dopadł go gdzieś na krzyżówce, jak się na Szufnarową jedzie i tam mu coś mówił, że mnie puścił. No i tak nie pojechałem do Niemiec.

Nie wolno było mleć w żarnach. To pamiętam, jak koło domu chodziły my bez przerwy w koło, brat starszy mełł, a jak już było trochę mąki umielane, to wynosiły my daleko w las kamień od żaren i tam trzeba go było zakopać. A podstawę żaren to obsypywały my płowami, że jak przyszli do kontroli, to było widać, że żarna były nieużywane.

Jak byliśmy wysiedleni, przyjeżdżaliśmy czasem do Szufnarowej, bo to był czas żniw, żeby trochę zboża ukosić. I przyjeżdżamy, tu na wierzchu, na tych polach była nasza pszenica. Co dziesiąty we wsi był dziesiętnikiem. Była linia pofrontowa, więc nie wolno było tak chodzić, tylko dziesiętnicy mogli, bo mieli przepustki. Przyjechaliśmy do tych żniw, do tej pszenicy, na to pole, a tu działo jedno koło drugiego i takie okopy koło tych dział. To byli Rusini. A z boku były takie dwa patyki, wisiało wiadro i supę gotowali. Kosimy, kosimy, ale za chwilę wystrzał słychać i już gwizdże kula. I buch! Takie dwie sosny były tam u góry i koło tych sosen trafiło. Kule leciały od czasu do czasu na te wojska, co były przy tych działach. To się daleko ciągnęło. Działa, okopy i wojsko. A tatuś jak się wystraszył, bo kula spadła tu niedaleko, tak do piwnicy uciekamy wszyscy. Zahaczył o wiadro i wylał tę supę, którą gotowali. Jak się wściekali Ruscy, myśleliśmy, że nas zastrzelą za to.

Żona: Młode chłopaki i dziewczyny chowali się w takich domach gdzie było dużo dzieci, bo tam Niemcy nie szli. Chyba, że ktoś podał, że się tam ktoś ukrywa. Na przykład u nas na strychu schował się chłopak od sąsiada. Ja się strasznie bałam. Bo było nawet tak, że jak szukali to przebijali widłami wiązki słomy. Ale nie przyszli. Siostrzenica męża była wywieziona do Niemiec i tam pracowała przy bombach.

Ludzie starali się oszukiwać Niemców, żeby jakoś omijać zakazy, na ile to było możliwe, spotykali się wieczorami potajemnie w niektórych domach, ośmieszali Niemców. Niemcy kupowali bardzo chętnie gęsi.

Mieszkaniec, który urodził się w czasie wojny w Szufnarowej.

Urodziłem się w 1941 roku. W czasie wojny mieszkalem w Szufnarowej. Moi rodzice zajmowali się rolnictwem. Miałem pięcioro rodzeństwa. Jedna siostra była młodsza, a reszta rodzeństwa była starsza.

To było za okupacji niemieckiej, rodzice opowiadali, był taki kontygent, że każdy rolnik miał swoją część mięsa, ziemniaków, zboża i mleka oddać Niemcom. To było straszne dla rolników. Pamiętam, jak tatuś coś tam oddał na ten kontygent, to przywiózł żelazną piłkę do drzewa, przecinak (majzel) i wódkę. Od Niemców. Mleko codziennie trzeba było nosić w ustalone miejsce. Tam to mleko było odwirowywane i zabierali tylko śmietanę. Pewnego

razu przyszła partyzantka i zabrała baka od wirówki właścicielowi i prawdopodobnie przez jakiś czas nie brali tego mleka, bo nie mieli czym odwirować śmietany. Pamiętam, jak odnosiłem to mleko po 2,3 litry w takim dzbanku.

Mieć w żarnach nie było wolno. Kamienie od żaren trzeba było oddać. Ale ludzie kamienie chowali i po kryjomu mielali. Potem znowu chowali kamienie i żarna musiały być wysprzątane, szczotką wyzamiatane, żeby w razie kontroli nie było śladu. Były takie domy zbiorowe, że do tych domów trzeba było oddać te kamienie. Wiatraki, które stały, nie wolno było, żeby miały. A jak Niemiec ujrzał, że mielali, że chodzi wiatrak, to poszedł i podpalił go. Tak, że się dużo wiatraków spaliło.

Przed frontem tu u nas, za okupacji niemieckiej to był wywóz ludzi do Niemiec na przymusowe roboty. Ale ludzie nie chcieli jechać więc była taka łapanka. W nocy Niemcy z jednym Polakiem, takim „podlizuskiem” dla Niemców. U nas też był na górze taki jeden i on też chodził i łapał ludzi. Ale partyzantka przyszła w nocy i jego złapali. Tak go zbili, że jak ojciec mi opowiadał, na plecach nie miał miejsca białego, tylko miał czarne. A tylek, to był taki, że nie siadł. Dwa tygodnie nie mógł usiąść. Drugi był taki, co donosił. To partyzantka polska powiesiła go na jabłoni. To też wiem z opowiadania. I przyjechał Niemiec, pewnie był Ślązakiem, bo umiał po polsku. Chciał zobaczyć tego wisielca na jabłoni. Podeszedł z przodu i mówi: żebyś miał język krótszy, to byś tu nie wisiał. Odwrócił się do ludzi i mówi: zdjąć i zakopać. Ale czasy za okupacji niemieckiej to znam tylko z opowiadania. A jak była łapanka, to pamiętam byłem tego świadkiem, jak siedział taki młody chłopak, siedział na piwnicy, na tzw. grubie. Teraz nie ma już tego, wtedy to mieli takie grube na ziemniaki. I jak ujrzał, że idą we dwóch, Niemiec z Polakiem z policji niemieckiej, zaczął uciekać do lasu. A tak go podeszli, że niedaleko byli. Polak krzyczał do niego: Stój! Stój, bo strzelam! Przykucnął i strzelił, może z odległości 20 metrów. I zabił go. Jeszcze dziś mam na oczach, jak leży zabity.

Jak trzeba było jechać na wysiedlenie to przyszedł Rosjanin i mówił: ubieżaj ! ubieżaj! Nic nie było wolno zabrać, wszystko zostawić, a potem Ruscy kradli, co chcieli z domów. U nas był taki zegar ścienny, to go zabrali, potem znalazł go tatuś rozebranego na części w lesie.

Jak my jechali na wysiedlenie, to zaszedłem na miejsce z pół godziny później niż wszyscy, bom się bawił po drodze. Miałem zakazane, żeby nie ruszać niczego, co leżało. Oprócz kamieni nie wolno było nic ruszyć, żadnego żelaza, nic, bo Niemcy zostawiali miny. Jak byliśmy na wysiedleniu, znalazłem wycior do karabinu, to nie ruszyłem, tylko poszedłem do domu i powiedziałem tatusiowi, żeby poszedł zobaczyć, czy ja sobie mogę to zabrać. Wycior to był taki kawałek druta do czyszczenia lufy, ze składana rączką.

Jak my pojechali na wysiedlenie, bo jak już nadszedł ten front to żołnierze ruscy nas wysiedlali, to do sąsiedniej miejscowości, bo tam nie było frontu już, to wszyscy nas bardzo dobrze przyjmowali. To było takie sąsiedzkie pojednanie. Jeździło się koniem, jak kto miał, a jak nie to miał to szedł na wysiedlenie i niósł na przykład garczek, żeby co ugotować, jak było z czego zrobić coś do jedzenia, no to zrobili. Gospodarze na wysiedleniu pomagali sobie, jak kto miał jakie mleko albo ziemniaki to dawał drugiemu, dawali pomieszczenie, przyjmowali do domu do spania, przyjmowali krowy.

Całe te dwa tygodnie to my byli w takich skarpach. Tam kula nie dochodziła, bo jak leciała to przeniosło ją na drugą stronę. Polacy ukrywali Żydów. Ale to było wszystko przed frontem. To wiem z opowiadań. Jak Rosjanie przyjechali, wysiedlili nas. Jak my wrócili, to wojsko spało w naszym domu na zbożu, bo to było we żniwa, więc z pola znieśli snopki, rozesłali i tam spali. Jak my przyjechali, to pamiętam dokładnie, co to były za ludzie. Za swoją potrzebą nie wychodzili na pole, tylko podnosili słomę, tam się załatwiali i na tym spali. Koło domu też było wszędzie „kupa koło kupy”. Moja młodsza siostra chorowała,

nie wiem co to za choroba była, jeden strup na twarzy i na szyi. Ona była jeszcze malutka, na rękach, jeszcze nie chodziła. I poszła moja mama do lekarza ruskiego z nią, żeby jej coś na to dał. Na te strupy, bo to była jedna maskara. To jej powiedział tak: - Nie ma na to lekarstw, ale mieszkasz w domu drewnianym, to próchno, co robaki zgryzły to drzewo, przesiej przez sitko i tym zacieraj. Ja pukałem młotkiem i to próchno łapałem i mama tak zrobiła. I wyszła ta siostra z tego. Teraz, jak bym powiedział lekarzowi, to by się chyba śmiał z tego.

Ale tym wyleczyła. I nie ma na twarzy żadnej blizny, żyje do dziś. Tylko na szyi ma troszkę blizny. To taka była medycyna.

Ubrań w czasie wojny, ani po wojnie nie kupił nigdzie. Nie było z czego uszyć. Wszystkie fabryki stały, Niemcy wszystko zabierali, nie było nic. Piło się wodę, a do jedzenia przeważnie były ziemniaki, mleko, grzyby. Czasem jaki placek razowy upiekła matka ze zboża i tyle. Tu blisko to domów się nie popaliło dużo, tu był dom rozbity przez kule po drugiej stronie.

Po froncie zginął mój kuzyn, przez NKWD. Zastrzelili go. On jest pochowany i ma pomnik. Powiem, w jaki sposób był zamordowany. Opowiadał mi ojciec. Mój kuzyn się ukrywał, bo był w AK. Ktoś go wypatrzył, a wszędzie są tacy, co lubią podać. I podał do NKWD do Ruskich. Ruski go podszedł, on wybiegł z domu, uciekł na chlewek, na powałę, bo tam miał broń. Ten Rusek wpadł do tego chlewka, bo tam nie było świni i dotąd strzelał z automatu w powałę, bo to była drewniana powała, aż się krew puściła na niego. Kuzyn miał jednego syna.

Było więcej pól, zabudowania były drewniane, przeważnie domy razem ze stajnią, nawet stodoła była razem. Wyjątki były, gdy bogatsi ludzie mieli domy większe, pod dachówką i stodołę osobno. A tak to wszystko było drewniane i kryte słomą.

Nie widziałem czołgów, ale jak kule z czołgów leciały, to pamiętam, jak Niemcy strzelali. Ogromne te kule były. Był wielki huk. W zimie rzadko chodziło się do kościoła, bo nie było butów, ubrań. A śniegi były nie takie, jak dzisiaj. Od nas do kościoła to było przeszło 7 kilometrów. W lecie chodziło się do kościoła na bosaka. Jak ktoś miał buty, to niósł, przy kościele wytarł nogi z kurzu w trawę, obuł buty i wchodził do kościoła. A jak wyszedł z kościoła, to znowu buty do ręki i szedł na bosaka.

Mam też dobre wspomnienie, ale to już wtedy byliśmy wyzwoleni. Przyjeżdżał do nas Rusek koniem, przywoził różności. Brał mnie na ręce, miałem cztery lata, mówił, że takiego syna zostawił. Dawał mi cukier w kostkach, fujarkę mi dał, bo skądś miał, furazerkę wojskową, długo ją miałem. No i to było dość długo tak, nareszcie przyszła wiadomość, że nie żyje. Utkwił mi w pamięci ten Rusek, bo taki dobry był dla mnie. Ruscy chodzili po domach za wódką, za jedzeniem też chodzili. Jedli też u nas, pamiętam.

Jak był front, siedzieliśmy w paryi, w lesie. Ostatnia noc była straszna. Był taki huk, że trudno było wytrzymać. Już wtedy Niemcy się wycofywali. Rano, jak wszystko ucichło, zapamiętałem, że chodziłem i zbierałem ptaszki. Dlatego, że taka była ta ofensywa, taka strzelanina, że te ptaki to były ogłuszone. Nie były zabite, tylko ogłuszone. Za jakiś czas się opamiętały i powoli odlatywały. Pamiętam, że była sroka, sójka i inne. Wcześniej bawiłem się tam w tej paryi w rzeczce. Zbierałem różne kamyczki. Przyszła kula z działa, uderzyła w brzeg i małym odłamkiem trafiło mnie w duży palec u nogi. Byłem boso. To krew się tak lała, że woda przez chwilę w tej rzeczce była czerwona. A ta kula spadła niedaleko ode mnie. I tylko w ten palec dostałem odłamkiem. Długo stała ta lipa, koło której w brzeg trafiła ta kula. Wyrwała duży dół. Pamiętam, że długo potem, już chodziłem do szkoły, jeszcze chodziliśmy ten dół oglądać.

Wspomnienia małżeństwa, które dzieciństwo spędziło w Szufnarowej

Mąż: - Jak wybuchła wojna, miałem 13 lat.

Żona: - A ja 10.

Mąż: - Przed wojną życie było jak zwykle, na gospodarce, robiło się w polu, pasło się krowy... Dawniej było więcej pól uprawnych. Domy były budowane w najgorszych miejscach. Dom, w którym się urodziłem był po prostu w lesie, żeby pola nie zająć. Pytałem się babki, czego to nie posunięty ten dom dalej, bo jak przyszła zima, to słońce tam mało świeciło. A babka mówi, że szkoda było zagonów. To było pole. Tak była ceniona wtenczas ziemia uprawna, że szkoda było w dobrym miejscu budynek wystawić.

Jak były żniwa, szło się w pole, zboże się żęło, przeważnie jeszcze sierpami, potem kosą. A my, jako dzieci, to my przeważnie pasły krowy. To było nasze zadanie, do południa, po południu. A resztę czasu można się było bawić. Miałem siostrę i brata. Byli młodszy ode mnie.

Zdawałem sobie sprawę z tego, co to jest wojna, matka i ojciec opowiadali przeżycia z I wojny światowej. Matka mówiła, że ojciec może iść na wojnę. Ja to bardzo przeżywałem. Jakby ojciec poszedł, to cała praca jaką się wykonuje na rolnictwie, pozostawałaby dla mnie, a ja jeszcze wszystkiego nie umiałem robić na gospodarstwie.

Ludzie jedni drugim przekazywali wiadomości, że Niemcy zdobywają polskie tereny. I to było bardzo niedobre, bo Niemcy w takim razie idą do nas.

Ludzie sobie pomagali. Jak ktoś zachorował, rękę złamał czy nogę, to go sąsiad zastępował w różnej pracy. Jedzeniem się dzieliło.

Jadło się to, co na polu urosło: ziemniaki, kapusta, groch, kasze różne, jabłka, gruszki. Do picia była woda i mleko, bo krowy były.

Były wielkie trudności ze zdobyciem ubrania. Były buty drewniaki, po wierzchu była skóra, a podeszwa była z drewna robiona.

Takim wesołym czasem były święta Bożego Narodzenia. Była radość, jak drzewko było, kilka cukierków na nim wisiało, ciastka różne, jabłka. No i wtenczas było jedzenie lepsze.

Śluby były brane przeważnie we środy. Mogły być jeszcze w poniedziałek albo we wtorek. W czwartek, piątek, sobotę ślubów nie było. Siadało się na furmanki i jechało się do kościoła. Śluby były do południa. A później, jak zwykle, jedzenie, picie. My, jako dzieci zaglądaliśmy, żeby jakie ciasto dostać.

Ludzie przemieszczali się piechotą lub furmanką. Żeby przekazać sobie informacje, sołtys wysyłał wiadomość. W tym czasie nazywało się to – motyl. Jeden do drugiego przynosił kartkę. Tam było napisane na przykład, że będzie zebranie lub jakieś inne wiadomości. I tak powiadamiało się wszystkich ludzi we wsi.

Niemcy przyjechali tutaj, rozlokowali się przy szkole, mieli kuchnię, a ludzie nawet nosili sprzedawać masło, ser. I ci Niemcy kupowali. A Rosjanie też byli dobrymi ludźmi.

W pierwszy dzień wojny, widziałem dokładnie, rano, że samoloty leciały bardzo nisko. Te samoloty, jak dowiedzieliśmy się później, były skierowane na Krosno. W Krośnie zbombardowały lotnisko. Polscy piloci chcieli się bronić, wystartowali i wtenczas jak ludzie opowiadali, to spadło 4 samoloty polskie i 3 niemieckie. Taki był nalot na Krosno.

Żona: Jak Niemcy tu byli, to Niemcy rządili we wsi, a potem się wycofali, bo Rosjanie nadchodzili. Osiedlili się w naszej wiosce. Było ich dużo. Chodzili od domu do domu, żeby wysiedlać, bo chcieli gdzieś mieszkać. Moi rodzice wiedzieli o tym, że Rosjanie mają przyjść i sprawdzać, czy kto nie pozostał z domownikami i obmyślili, żebym udawała, że jestem bardzo chora, na tyfus, to wtedy pozwolą nam zostać w domu. Rosjanie bardzo bali się tej

choroby, żeby się nie zarazić od chorych. Mój tata schował się z moimi siostrami w stodole. Ze mną została tylko mama. Przyszło dwóch Rosjan, a ja udawałam chorą, byłam przykryta pierzynami, bardzo stękałam i udawałam, że boli mnie brzuch. Mamusia nakryła mi głowę moką chusteczką. Strasznie się bałam i tak leżałam cały czas. Przyszedł do mojego łóżka jeden Rosjanin i wziął mnie za rękę, żeby zbadać puls.

Do dziś czuję dotyk tego Rosjanina. Machnął ręką i odeszli. A tata z siostrami wrócili do domu.

Potem Rosjanie rozmieścili się po domach. Do naszego domu przyszło dziesięciu Rosjan. Poszukali łóżek po domach, poznosili do naszego domu, nie obecnego, wtedy był stary dom. Nocowały w naszym domu ci Rosjanie. A myśmy razem z nimi żyli. Dość długo to trwało. Może koło miesiąca. W połówce mieszkali Rosjanie, a druga połówka domu to była komórka i stajnia. Krowy tam były. My mieszkali w tej komórce. Ciasno było bardzo, bo nas było pięcioro – rodzice i my we trzy. No tośmy spali we cztery na jednym łóżku, a tatuś spał na takim pryczku, z desek zrobionym. Ci Rosjanie to byli bardzo dobrzy ludzie. Chciałabym, żeby tacy wszyscy ludzie byli. Mama gotowała przedziutko sobie i nam na kuchni. U tych dziesięciu Rosjan był kucharz. Jeden był z końmi i z wozem i woził tę resztę Rosjan na prace, okopy. Pamiętam, jak na te wozy kładli łopaty. Rosjanie zjedli rano śniadanie i pojechali. A kucharz zostawał i gotował. Dopiero wieczorem wracali z tych prac, bardzo zmęczeni i szli od razu spać, bo na drugi dzień czekało ich to samo. Jak moja mama ugotowała rano dla domowników, to on potem we wiaderku gotował dla tych żołnierzy. Przyjeżdżali na gotową tę zupę. Dzień w dzień jedna i ta sama zupa była. Ale i ziemniaki były. Czasem tam, widziałam, dodawał groszku w konserwie i mięsną konserwę. I to było takie jedzenie. Czasem mama dawał kucharzowi coś, co sama ugotowała i bardzo jej za to dziękował:

Chazjajka, spasiba, charaszo. Do dzisiaj pamiętam wiele słów po rosyjsku, nauczyłam się przez ten czas, kiedy oni u nas mieszkali.

A tych Rosjan to było dwa gatunki. Jedni mieli ciemniejszą skórę, oczy trochę skośne i byli niżsi. Tych było czterech, a pięciu miało jasną cerę, byli wyżsi. Byli bardzo grzeczni. Pamiętam ich nazwiska tych czterech skośnookich Rosjan: kucharz – Karabaj, Ramfambaju, Szyrszymbaju, Niedadaju. Pozostali to: Butynko, Łowsinko, Salahudina, Krywaručka, Izdołaj i Iwan. Wszystkich pamiętam, bo byli bardzo grzeczni. Oni mieli przydzielone na przykład kostki cukru, ale ten kucharz gdzieś tam uskrobał i dał mi tę kostkę cukru. Jakie to było dobre! Jeden z nich – Niedadaju, był malarzem. Malował afisze, takie wielkie plakaty i oblepiali nasz dom tymi plakatami, na zewnętrznej stronie domu. Jak mieli odjeżdżać, to pięknie się pożegnali z domownikami i te arkusze ze sobą zabrali. Taki był zdolny, że jak ktoś usiadł, to zrobił mu portret. Było to jak zdjęcie. Taki był zdolny. Takie grzeczne chłopcy były, ale zaniedbane były bardzo, bardzo. Tyle tygodni nie mieli się gdzie umyć. Brudne te ubrania były. Raz coś chciały zrobić taki praznik (święto), taką imprezę. Prosiły moją mamę, żeby im wyprała choć koszulę, żeby mieli odświeżone, bo to było coś strasznego już. Takie były zaniedbane, brudne. Nie mieli kiedy nawet sobie wyprać. Z dnia na dzień żyli. Mamusia im wyprała te koszule na ten praznik. Ja kilka słów rozumiem po rusku. Dostali wtenczas na ten praznik pół ćwiartki wódki.

Ci ze skośnymi oczami stale się oddzielali od reszty. Na tym prazniku trochę wypili, to śpiewali. Ci inaczej, całkiem inne melodie. Te melodie to jeszcze dzisiaj słyszę. A tamci, pozostali, do przedsionka chodzili i tam śpiewali. I tak było, było... Potem przyszedł rozkaz i się wszystko wyniosło. Jeden w styczniu, 17 stycznia, mimo, że odjechali, to ten furman, który miał konie, przyjechał wieczór. Zapukał do nas, chyba z pół roku później, przyjechał nas odwiedzić. Był z nami, zżył się tak. Dobry chłop też był bardzo. Przenocowaliśmy go, nakarmili. Pożegnał się i pojechał gdzieś. Skończyła się ta znajomość. Wspominam ich mile i oni też bardzo nas lubili.

Wcześniej jeszcze przed tą historią z Rosjanami, zanim było to dziesiątkowanie, było takie wysiedlenie, cośmy wszyscy musieli opuszczać dom. Tośmy uciekali do sąsiedniej miejscowości. Tam my mieli rodzinę, to tam my byli. Tatuś miał konia i wóz, tośmy siedli na wóz. I krowę my mieli ze sobą. Tego majątku całego to było ani, jak to mówią, „w koc zawiązać”. Ciuchów nie było, bo to... Nie chce się wspominać bardzo tych czasów... No i tam my uciekli. Tam my coś pobyli. Potem się wszystko jakoś unormowało i przyszliśmy do domu.

Jak Niemcy byli z jednej strony wsi, Rosjanie byli z drugiej. I Ruskie wyprowadzili działo tu po sąsiedzku. I strasznie wtedy zaczęli bić. Pociski tak padały, a my jako rodzina, byliśmy w piwnicy. Bili strasznie. Tak było pocisków koło naszego domu! Chcieli zniszczyć to działo ruskie. Potem wycofał się Rusin. Wyciszyło się. Tak my się wystraszyły w tej piwnicy i uciekłyśmy na tamtą stronę, bo tam była taka stajnia pożydowska wielka. Była zbudowana z grubych murów i tak jakby było bezpieczniej. Bo na tej stronie bili, a tam nie. Tam była cisza, bo tam nie było Ruskich. W tej stajni byłam ja, siostry i rodzice i potem my były głodne w tej stajni. Tak mnie wysłali rodzice do tego domu, skąd my przyszli, bo były tam upieczone proziaki. Mamusia upiekła. Powiedzieli: - Idź i przynieś, bo my są tu wszyscy głodni. Usłuchałam i poszłam. Jak szłam po tę całą żywność, tak Ruskich tak tu było dużo! Nawet rzeką szły. Do dzisiejszego dnia widzę, jak mi jeden Rosjan groził palcem, żebym nie szła, bo mnie zabiją tu. Pociski lecą, a ja idę. Ale ja mała byłam, nie rozumiałam tak dobrze. A ten tak mi groził i mnie wstrzymywał. Ale przyszłam, zabrałam te proziaki i zaniósłam tam dla rodziny. Takie rzeczy też pamiętam.

Wojna to straszna rzecz. Nie daj Boże, żeby się coś takiego powtórzyło.